

PISMO PARAFII NARODZENIA NMP W BIEŻANOWIE

PŁOMIEN

NR 3 (34) ♦ BIEŻANÓW ♦ 2 MARCA 1997 ♦ 1,20 zł

Z NAUCZANIA OJCÓW

NIEURODZAJNE DRZEWO FIGOWE

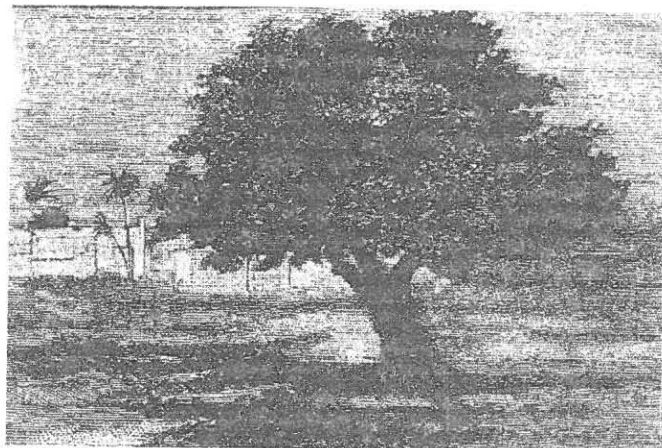
(Łk 13,6-9)

«Pewien człowiek miał drzewo figowe zasadzone w swojej winnicy; przyszedł i szukał na nim owoców, ale nie znalazł. Rzekł więc do ogrodnika: „Oto już trzy lata, odkąd przychodzę i szukam owocu na tym drzewie, a nie znajduję. Wytnij je: po co jeszcze ziemię wyjaławia?” Lecz on mu odpowiedział: „Panie, jeszcze na ten rok je pozostaw; ja okopię je i obłożę nawozem; może wyda owoc. A jeśli nie, w przyszłości możesz je wyciąć”».

To nie to samo, wyciąć roślinę albo kwiat jakiś krótkotrwały, czy człowieka zgubić. Jesteś obrazem Boga i do obrazu Boga przemawiasz, i ty sam, który sądzisz, i ty będziesz sądzony (Mt 7,1n). A sądzisz cudzego sługę i tego człowieka, którym inny rządzi (Rz 14,4n). Tak brata swego osądzaj, jakbyś i sam tą miarą miał być sądzony. Dlatego nie ucinaj od razu i nie usuwaj części ciała kiedy nie masz pewności, że przez to nie uszkodzisz jakiegoś zdrowego członka. Za to pouczaj, nappominaj, zachęcaj (2 Tym 4,2). Masz przepis na leczenie. Jesteś uczniem Chrystusa, cichego i miłosiernego (Mt 11,29), który dźwigał nasze słabości (Iz 53,4).

Gdyby się z początku opierał, bądź cierpliwy, a gdyby po raz drugi się opierał, nie trać nadziei. Jeszcze jest czas na leczenie. A gdyby po raz trzeci się opierał, bądź owym łaskawym rolnikiem: jeszcze proś Pana, by go nie wycinał i nie zniechęcał się do jałowego i nieużytecznego drzewa figowego, ale by je pozwolił okopać i wziąć je w opiekę, i obłożyć nawozem (Łk 13,8n). Inaczej mówiąc, daj mu sposobność do poprawy, którą się osiąga przez publiczną pokutę i przez życie w upokorzeniu. Kto wie, może się zmieni i wyda owoc, i żywić będzie Jezusa powracającego z Betanii?

Św. Grzegorz z Nazjanzu († 390).



Drzewo figowe w Palestynie

(Przedruk z: *Pismo Święte Starego i Nowego Testamentu w tłumaczeniu ks. Jakuba Wujka, tom II, Warszawa 1894*)

W NUMERZE M. IN.:

Str. 2 - 3 - Aktualności

O tym wszystkim, co w tej chwili dzieje się u nas

Str. 4 - 5 i 9 - 10 - Młodym

Jaki jest sens postu? Jaki jest sens ofiary?

Str. 9 - Historia Kościoła

O pokucie w Kościele starożytnym

Str. 10 - Świadkowie wiary

Św. Krystyna

Str. 11 - Sanktuaria maryjne

Nazaret

Str. 14 - Patronowie bieżanowskich ulic

Dziś postać Brunona Schulza

Str. 16 - 17 - Rozmowy z Księdzem Profesorem

Rozmowa pierwsza - o powołaniu

Str. 17 - 18 - Gościnnie

Po co spowiednik?

Str. 19 - Rozrywka

Tym razem tylko jedna krzyżówka, ale będzie nad czym pomyśleć

Str. 20 - Z życia parafii

Dane statystyczne

Kronika dla potomnych



AKTUALNOŚCI

Koncert laureatów Festiwalu Muzyki Kresowej.

„Wesoły Lwów” w Bieżanowie

We wtorek 4 lutego 1996 po wieczornej Mszy Świętej, w auli pod nowym kościołem wystąpił zespół „Wesoły Lwów”. W czasie koncertu zorganizowanego z inicjatywy dr med. Małgorzaty Radwan-Ballada, radnej dzielnicy XII, licznie zgromadzona publiczność mogła usłyszeć wiele przedwojennych przebojów muzycznych.

Zespół „Wesoły Lwów” powstał w 1989 roku. Pierwszy koncert, na którym nowopowstały zespół wystąpił publicznie odbył się pierwszego października 1989 roku i był pierwszym od prawie pięćdziesięciu lat koncertem zespołu śpiewającego w języku polskim na ulicach Lwowa. W początkowym okresie swojego istnienia zespół, którego dyrektorem jest pan Zbigniew Jarmiło, występował głównie na rocznicowych akademiach z okazji świąt narodowych: trzeciego maja i jedenastego listopada. Od pewnego czasu lwowski zespół bierze również udział w międzynarodowych festiwalach muzycznych. Ostatnio, podczas jednego z takich festiwali (II Festiwalu Kultury Kresowej w Mragowie) „Wesoły Lwów” okazał się najlepszym wśród 17 występujących tam zespołów. Śpiewający lwowiaczy otrzymali również nagrodę publiczności.

„Wesoły Lwów” to zespół kontynuujący tradycje przedwojennej „Wesołej Lwowskiej Fali”, czyli popularnych Tońka, Szczepka oraz Władysław Majewskiej.

W czasie koncertu publiczność mogła usłyszeć przedwojenne przeboje przeplatane utworami napisanymi już po wojnie, setki kilometrów od Lwowa, na Syberii, w dalekim Iranie i w Londynie. Piosenki przeplatane były wspomnieniami o przedwojennym polskim Lwowie. „Wesoły Lwów” swój występ rozpoczął od utworu „Serce Batiara”, który został napisany do filmu pod tym samym tytułem. Niestety w czasie powstania warszawskiego jedyna kopia filmu została zniszczona. Później wszyscy zgromadzeni, a było ponad sto trzydzieści osób, mogli usłyszeć m.in. utwory p.t. „Sztajerek”, „Orlątko”, „To mój Lwów”, „Jak zarobię dwieście złotych”, które spotkały się z bardzo gorącym przyjęciem publiczności. Koncert zakończył „Łyczakowski hymn” śpiewany na bis przez lwowski zespół (jak również przez wielu widzów) oraz tradycyjne lwowskie pozdrowienie.

(pip., tom., etc.)

Akcja protestacyjna pracowników ośrodka i pacjentów

Co dalej z przychodnią?

Od czerwca ubiegłego roku prowadzony jest remont przychodni przy ul. Ks. Popiełuszki - bez uzgodnienia tego z kierownictwem przychodni. Miał on potrwać ok. 3 miesiące - trwa do dnia dzisiejszego. Jego koszt zamknie się przypuszczalnie w kwocie ok. 2 mld. starych złotych. Remont jest przyczyną niedogodności w przyjmowaniu pacjentów i w zdecydowany sposób pogarsza warunki pracy personelu przychodni. Mieszkańcy naszego osiedla nie narzekali jednak na te niedogodności, mając w perspektywie możliwość leczenia się w lepszych i nowocześniejszych warunkach. Niestety nie wszystko wygląda tak dobrze.

Otóż został ogłoszony przetarg, w wyniku którego część rejonu obsługiwanego przez lekarzy z naszej przychodni zostanie oddana w ręce lekarzy rodzinnych (lekarzy tuż po stażu, którzy właśnie kończą specjalizację lekarza rodzinnego). Obejmą oni opieką rejon ok. 2,5 tys. mieszkańców z naszego osiedla - rejon

wydzielony administracyjnie bez wiedzy i zgody zainteresowanych pacjentów. W wyniku takich działań, rejon obsługiwany przez przychodnię zmniejszy się i może zostać ona zlikwidowana.

Działalność lekarza rodzinnego finansowana jest przez Wydział Zdrowia UM; lekarz otrzyma na leczenie pacjenta średnio ok. 1 mln. starych złotych na rok. Z tych pieniędzy musi opłacić koszty utrzymania gabinetu, płace swoje i personelu, niezbędne badania diagnostyczne i konsultacje specjalistyczne. Tylko od niego zależy w jaki sposób wykorzysta te pieniądze i czy wystarczy mu ich na wszystkich pacjentów (nie ma żadnej kontroli nad sposobem wydawania pieniędzy).

Zakres działania lekarza rodzinnego nie różni się od pracy lekarzy w przychodni - taki sam czas pracy, takie samo wyposażenie gabinetu. Jednak z punktu widzenia pacjenta pojawiają się pewne utrudnienia. Otóż pacjent musi korzystać z usług lekarza, na którego listę jest wpi-

sany. W przypadku niezadowolenia z pracy lekarza, pacjent może zmienić go i wpisać się do innego (jednak dopiero po upływie 3 miesięcy). Badania diagnostyczne i konsultacje specjalistyczne będą wykonywane (bezpłatnie) jedynie w placówkach, z którymi lekarz podpisze umowy - w pozostałych placówkach będą wykonywane one odpłatnie. Obecnie pacjent może wykonać badania i udać się do specjalisty w dowolnie wybranej placówce Służby Zdrowia w Gminie Kraków, posiadając oczywiście skierowanie.

W ramach praktyki lekarza rodzinnego nie będzie gabinetu stomatologicznego - pacjenci będą musieli leczyć się w przychodni przy ul. Heleny.

Ci, którzy nie zgadzają się na takie rozwiązania, mogą wpisywać się na listy pacjentów nie wyrażających zgody na wpisanie ich na listę lekarza rodzinnego, które od pewnego czasu „krążą” po naszym osiedlu.

Ewa

Po feriach

Zimowisko w Lipnicy Wielkiej

W dniach od 31.01 do 8.02.1997 r. dzieci z naszej parafii w liczbie 47 brały udział w zimowym wypoczynku w Domu Wczasowym „ORAWA” w Lipnicy Wielkiej pod Babią Górą. Wśród 47 dzieci znalazło się 6 osób z całkowitym dofinansowaniem i 5 dzieci płacących niecałą połowę kosztów zimowiska. Było to możliwe

dzięki dofinansowaniu wyjazdu przez „Caritas” Archidiecezji Krakowskiej oraz Urzędu Miasta Krakowa.

Podczas pobytu dzieci mogły codziennie wyjeżdżać na wyciąg narciarski, zwiedzały okolice Babiej Góry, brały udział w różnych konkursach plastycznych, grach sportowych i zręcznościowych, bawiły się niemal

codziennie na dyskotecę, uczestniczyły w kuligu i ognisku. Opiekę nad dziećmi sprawował wykwalifikowany personel wychowawczy i medyczny oraz

ks. Milan,

który zimowisko przygotował, przeprowadził i powyższe treści napisał.

Tradycje społecznikowskie nie umierają

Nowi biezanowscy przyjaciele Radia Maryja

Od wielu lat, praktycznie od zawsze, w naszej Parafii, był krąg ludzi o zacięciu społecznym. Gdy jedni odchodzili do Pana, przybywali następni i tak trwa dotąd, wymiana ludzi w służbie i czynach biezanowskich pokoleń.

Sięgnijmy tylko do okresu ostatniego półwiecza. Początkowy rozkwit tutejszych organizacji społecznych, potem ich planowa likwidacja do jedynie słusznej linii, podporządkowanej obłędnej ideologii. Obok tych patriotycznych organizacji (np. Akademicy, Harcerstwo, KSM, PSL - „Wici” itd.) ostoją w trwaniu przy polskości był miejscowy Kościół Parafialny. Swoją pracą duszpasterską, kolejni proboszczowie zespalał wiernych w poczynaniach „Pro Publico Bono” (dla dobra ogółu). Wielkiego formatu społecznik, opiekun biednych i młodzieży - Ks. Prałat M. Łączek. Do dziś oddany bezgranicznie wychowaniu młodzieży - Ks. Prof. F. Jarosz. Żarliwy patriota i obrońca prześladowanych za wiarę oraz politycznie, przeznaczony jako nr 2 do likwidacji przez UB - Ks. A. Chojnacki. Patron słynnej, najdłuższej w PRL-u głodówki, w proteście o swobodę wyznania wartości, uwolnienia więźniów politycznych, o swobodę wyrażania protestu, w której brało udział trzysta osób w okresie około czterech miesięcy. W tym też czasie zapoczątkowano comiesięczną Mszę Świętą w Intencji Ojczyzny (13

dnia miesiąca). Kolejni Ojcowie Rodziny Parafialnej byli także wspaniali: Ks. Prałat A. Sołtysik rozwinął Ruch Oazowy i Młodzieżowy (nie tylko w Biezanowie, ale i w Archidiecezji), Ks. J. Wais, Ks. S. Lejawka. Obecnie Proboszcza, Ks. B. Markiewicza, mogą nam pozazdrościć wszystkie parafie nie tylko naszego Dekanatu. Stale gromadzi wokół siebie wiernych, wokół Dzieła Bożego; budowy Nowego Kościoła, a ostatnio Domu Parafialnego.

Parafianie, przez swój stały udział w życiu społecznym w różnych katolickich organizacjach znajdowali i znajdują, szczególnie w ostatnim okresie pole do działania dla Boga i Ojczyzny (Pro Deo et Patriae).

Ostatnio, ludzie gorącego serca, oddani Ojczyźnie, i Słuchacze Radia Maria łączyli się z biegiem czasu przy Akcjach: Wyborów Parlamentarnych i Prezydenckich, Referendum Uwłaszczeniowym oraz w Akcji Obrony Życia Nienarodzonych w coraz liczniejszą, coraz bardziej świadomą Grupę Obywatelską Biezanowa. Postanowili zawiązać Koło Przyjaciół Radia Maria, którego działalność w eterze jest wysoce profesjonalna. Szczególnie ważnym jest to, że oprócz ewangelizacji, audycji dotyczących Wiary i jej odniesienia do codzienności, podstawową troską Radia Maryja jest troska o dobro wspólne - Ojczyznę. Tyle wolności, ile własności.

Liczba zgłaszających swój udział w Kole Przyjaciół Radia Maryja od chwili podjęcia tej inicjatywy stale rosła: najpierw 40 - tu, później 60 - ciu, obecnie 80 - ciu (na pewno przekroczy setkę!). Co jest oczywistym znakiem chęci działania wspólnego w naszej Parafii. Na zebraniu (02.01.br) mimo dotkliwego mrozu i chorób związanych z ciężką zimą było sporo osób. Wiele z nich prosiło o usprawiedliwienie nieobecności. Wybrano kierownictwo.

Najbliższe plany przewidują sprowadzenie odbiorników z odpowiednim zakresem fal, kolportaż czasopisma „Radio Maryja”, kaset z nagraniami (do rotacyjnego wypożyczenia), książek RM itp. Udział w Społecznych Akcjach Radia Maryja (zbliży się wizyta papieska, zbliżające się wybory) podawanie propozycji dla pracy antenowej...

Na pewno pod duszpasterską opieką Wielebnego Księdza Proboszcza oraz Ks. Marka współpraca z innymi organizacjami katolickimi przyniesie spodziewane owoce w bieżącym życiu parafii, a z czasem przyczyni się do powstania ogniska Akcji Katolickiej. Wszelkie informacje organizacyjne podawane będą w ramach parafialnych ogłoszeń duszpasterskich. Spotkania przewiduje się w każdy pierwszy czwartek miesiąca.

Władysław



Stary rabin leżał chory w łóżku, a jego uczniowie prowadzili rozmowę obok niego. "od czasów Salomona nie było tak mądrego jak on" rzekł jeden z nich. "A jego wiara jest równa wierze naszego ojca Abrahama" rzekł drugi. "Zaś jego cierpliwość z pewnością dorównuje Hiobowej" powiedział trzeci. "Tylko Mojżesz potrafił równie zazyle rozmawiać z Bogiem" dodał czwarty. Po wyjściu uczniów żona spytała rabina "Słyszałeś ich pochwały?" - "Słyszałem" odparł rabin. "To czemu jesteś taki poirytowany?" spytała. "Moja skromność..." poskarżył się rabin "nikt nie wspominał o mojej skromności..."

Każdy z nas lubi być chwalony, stawiany za przykład, wzór choćby w jednej małej rzeczy. Cieszymy się z awansów, nominacji, pięknie urządzonego domu, mądrych dzieci (czy rodziców), itp. Lubimy słuchać, gdy pięknie jaśnieje nasz wizerunek na zewnątrz, nawet jeśli zasługi i przynioty nam przypisywane nie są do końca prawdziwe. Ba, czasami popadamy w samolubstwo graniczące z samouwielbieniem jakby nasze osiągnięcia były li tylko naszą zasługą.

Przypomina mi się w tym miejscu bajka, którą kiedyś przeczytałam; brzmiała ona tak. "Goldberg miał najpiękniejszy ogród w mieście i za każdym razem, gdy rabin koło niego przechodził, wołał do Goldberga "Twój ogród to rzecz wyjątkowo piękna. Pan i ty jesteście współnikami". "Dzięki ci, rabbi" odpowiadał Goldberg za każdym razem. Mijały dni, tygodnie, miesiące. I codziennie przynajmniej dwa razy rabin idąc do synagogi wołał "Bóg i ty jesteście współnikami". Jednakże właściciel ogrodu słysząc te komplementy zaczął być zły, że choć Bóg w ogrodzie nic nie robi, w pozdrowieniu wymie-

ASCETA FIKAJĄCY KOZIOŁKI?

niany jest na pierwszym miejscu. Więc następnym razem, kiedy rabin rzekł "Pan i ty jesteście współnikami", Goldberg odrzekł "Może to prawda, ale powinieneś widzieć ten ogród, gdy Pan sam się nim zajmował!"

Może ktoś zapytać dlaczego nie być dumnym, dlaczego nie chęć się ze swoich osiągnięć, czy to źle być w centrum i pokazywać światu to, do czego doszedłem? Myślę, że tak, bo zobaczymy jak często w takich sytuacjach nie stawiamy na pierwszym miejscu naszych osiągnięć, ale siebie - a to już jest źle, chociażby z dwóch powodów: po pierwsze - stajemy się pyszni - ktoś kiedyś nawet powiedział, że nasza pycha umiera pięć minut po naszej śmierci, a po drugie blokuje to nasz rozwój, bo skoro już w naszym (czy kogoś innego) subiektywnym mniemaniu jesteśmy niemal doskonali - to po co tracić czas na to, by stawać się (obiektywnie oczywiście) jeszcze lepszymi.

Ktoś może mi teraz zarzucić, że piszę rzeczy zupełnie oderwane od rzeczywistości. Pycha, stawianie się na piedestale, itd., to rzeczy, które jak ktoś powie nie dotyczą przeciętnego człowieka, ot takiego sobie - nie będę się z tego tłumaczył. A jeśli ktoś robi rachunek sumienia częściej niż raz czy dwa razy na miesiąc, ten wie o czym piszę.

Ponoć, jak pisze św. Paweł "Jesteśmy powołani do świętości". Każdy te słowa słyszał niezliczoną ilość razy choćby w czasie niedzielnych czytań. A czy my o nich pamiętamy? Jeśli nie pamiętamy by rozliczyć się codziennie z naszych wzdzięć i upadków, to nie łudźmy się, że pamiętamy o świętości, do której jesteśmy powołani.

Mówimy "świętość", "święty", "powołanie do świętości", itd. A co to

właściwie jest ta świętość? Czy wiemy do czego mamy dążyć? Gdy szukałam w miarę krótkiej odpowiedzi na to pytanie, znalazłam tekst - "Zaprawdę świętym był ten, kto powiedział: "Jestem tylko czterema gołymi ścianami - z pustką między nimi - mówiąc takie słowa nikt nie mógł być pełniejszy". Czy my kiedykolwiek moglibyśmy uznać w tak dotkliwy sposób swoją nędzę, jak autor przytoczonych słów. Pewnie nie, bo tak naprawdę wrzuceni w codzienny kołowrót wydarzeń, próbujący zaadoptować się do wymagań dzisiejszych "szybkich czasów" sami nie wiemy co tak naprawdę w sobie nosimy, jakie jest nasze życie wewnętrzne (i czy w ogóle jakieś życie wewnętrzne w nas jest). Smutne to stwierdzenie, ale niewątpliwie pasuje do fioletowo - wrzosowego koloru Wielkiego Postu.

No właśnie - Wielki Post - czym on dla nas jest. Czy składa się on tylko ze Środy Popielcowej i Triduum Paschalnego - a przerwa między nimi jest niezauważalna, bo oprócz braku kwiatów w kościele, fioletowych ornatów i nieśpiewania Alleluja - wszystko wygląda tak samo.

Niedawno w telewizyjnym magazynie pt. "Czasy" przedstawiono sondaż, w którym wypowiadali się właściciele dyskotek i night clubów o frekwencji w tychże lokalach w czasie Wielkiego Postu. Wszyscy jednogłośnie stwierdzili, że frekwencja nie spada, a w niektórych lokalach w centrum nawet rośnie, ponieważ są one zasilane przez młodzież z prowincji, gdzie w czasie Wielkiego Postu dyskoteki są organizowane znacznie rzadziej.

Trudno jest nam przyjąć i właściwie wykorzystać te czterdzieści dni. Może uważamy, że są one niepotrzebne, staromodne, lub, co chyba grozi nam najbardziej, traktujemy je

jako symbol, zwyczaj. Często wspólny katolik zaczyna traktować spowiedź jako symbol, Eucharystię jako symbol - na równi z przedstawieniem, udawaniem, grą. Dlaczego? No właśnie dlatego, że dokładnie sam nie wie w kogo i w co wierzy, kim jest, a kim ma być. I tak koło się zamyka, ogólny wewnętrzny nieład, a sprzątać się nie chce. **WIELKI POST TO CZAS, W KTÓRYM POWINNIŚMY NA DUSZY WIELKIMI LITERAMI NAPISAĆ - REMANENT.**

Na poukładanie sobie w naszym wnętrzu Bóg daje nam 40 dni - to dużo. Daje nam nawet przykład, jak to robić, posyłając swojego Syna na pustynię. My też powinniśmy wyjść na pustynię, gdzie cisza i spokój, gdzie nie będziemy się rozpraszać. I znowu ktoś powie - ona chyba zgłupiała jaka pustynia - Sahara, Gobi, Błędowska, o czym ona pisze? Wyjście na pustynię to: modlitwa, jałmużna i post. To nic innego jak postawienie sobie wymagań. W codziennym życiu przywykliśmy do pilotów do telewizora, mikserów, wind, itp. Odruchowo idziemy w stronę luksusu. A Bóg mówi STOP! Nie chcę cię człowiecze leniwego, rozlazłego i rozpieszczonego - "jestem Bogiem wymagającym".

Gdy chcemy zostać dobrym uczniem, mechanikiem, kierowcą, maklerem stawiamy sobie coraz to większe wymagania - i to wszyscy rozumieją. Gdy chcemy zostać dobrym człowiekiem, wiernym, katolikiem - to stawianie sobie coraz to większych wymagań już nie wszyscy rozumieją i to jest właśnie błąd. Jeśli pomyślałeś sobie drogi czytelniku, że oczywiście Ty do nich nie należysz, to pozwól, że ośmielę się zadać logiczne, choć może zbyt śmiało pytanie. Jakie jest Twoje postanowienie wielkopostne, które ma cię lepiej przygotować do zrozumienia Triduum Paschalnego? Jakie postawiłeś

sobie wymagania, by stać się lepszym człowiekiem?

Postanowienia wielkopostne nie są tylko dla dzieci. A gdy ma się już te upragnione 18 lat (lub więcej) nie można się czuć od nich zwolnionym.

Postanowienie to zobowiązanie się do czegoś lub wyrzeczenie się czegoś, co ma mi cały czas przypominać o tym, co przeżywam, do czego chcę dojść. Tak więc z samego założenia postanowienie musi wiązać się z życiem codziennym, a nie z czynnością wykonywaną raz na jakiś czas - np. postanawiam sobie, że pomogę rodzicom, ale tylko w upraniu dywanu, który prany jest najczęściej w lecie, bo teraz nie ma go gdzie wysuszyć; rodzice nie prali dywanu, tak więc nie potrzebowali mojej pomocy - więc poniekąd moje postanowienie wypełniłem. Postanowienie musi być konkretne - nie można powiedzieć sobie - będę dobry, bo jest to założenie zbyt ogólne, mało prawdopodobne do zrealizowania przez 40 dni. Jeżeli postanowienie wiąże się z odmówieniem sobie czegoś, to musi to być coś, co lubimy. Nie można odmawiać sobie np. oglądania telewizji, jeśli się jej zazwyczaj nie ogląda. To tak jakby chory na cukrzycę odmówił sobie jedzenia czekolady, której mu jeść nie wolno. Jeśli stawiamy sobie jakąś poprzeczkę wymagań, to musimy jasno rozeznaczyć nasze możliwości - czy realnym jest (oczywiście przy nakładzie pracy i wysiłku) wykonanie postanowienia.

Przypomina mi się w tym miejscu opowiadka o czterech mnichach, którzy zdecydowali się milczeć przez miesiąc. Zabrali się do tego prawidłowo, ale po pierwszym dniu jeden z nich powiedział "Zastanawiam się czy zamknąłem drzwi od mojej celi w klasztorze, zanim wyszliśmy". Inny odparł "Ty głupcze, postanowiliśmy zachować ciszę przez miesiąc, a ty teraz złamałeś to postanowienie". Trzeci zawołał "A ty? Ty też je złamałeś". Czwarty natomiast rzekł

"Bogu dzięki, że jestem jedynym, który jeszcze się nie odezwał".

I jeszcze jedno założenie. Warto byłoby mieć takie postanowienie by ktoś inny skorzystał z tego, że próbuję stać się lepszym człowiekiem, np. przy uszczuplaniu oglądania jak leci telewizji przez 6 godzin dziennie, np. 3 godziny z tego czasu przeznaczam na czynienie dobra dla innych, choćby rozmowę, pomoc w lekcjach, itd. Wiem, że przykłady podawane przeze mnie są standardowe. Może zbyt dziecinne i nie na poziomie - jak to się dzisiaj mówi, ale nie chodzi mi o wyjaśnienie najbardziej czytelne.

PODCZAS STAWANIA SIĘ LEPSZYMI nie bądźmy "posępni jak obłudnicy. Przybierają oni wygląd ponury, aby pokazać, że poszczą". (Mt 6,16). To, że mamy czas by się nad sobą zastanowić, to że przygotowujemy się do świąt zwycięstwa życia, prawdy i miłości nad śmiercią, musi nas napawać nie czym innym jak **PRAWDZIWYM** życiem, **PRAWDZIWA** prawdą i **PRAWDZIWA** miłością. Jeśli tak będzie, jeśli zrozumiemy jak wielką łaską jest wyciszenie i stawianie sobie wymagań, łatwiej będzie nam o dobro, życzliwość i uśmiech dla innych, a to i przysporzy nam przyjaciół i innych zbliży do Boga. Tak było w Indiach, gdzie wędrowni asceci są częstym widokiem. Otóż pewna matka wieśniaczka zabraniała swojemu synowi rozmawiać i przebywać z wędrownymi ascetami, ponieważ choć cześć z nich uważana jest za świętych, to zdarzają się wśród nich oszuści. Pewnego dnia matka wyjrzała przez okno i zobaczyła ascetę otoczonego przez wiejskie dzieci. Ku jej zdziwieniu człowiek ten, niepomny na swą powagę, fikał koziołki, by zabawić dzieci. Matkę tak zachwycił ten widok, że zawołała synka i rzekła "Synku, ten człowiek jest święty, możesz iść do niego".

Iwona

HISTORIA

Moja droga do Pierwszej Samodzielnej Brygady Spadochronowej w Wielkiej Brytanii (11)

W największym napięciu nerwów, polecając się Matce Boskiej, przedzieraliśmy się, z zachowaniem nadzwyczajnej ostrożności, przez rozciągnięte potykacze z drutów kolczastych. Każde najmniejsze szarpnięcie mogło spowodować alarm w placówce niemieckiej. Przez kilka godzin trwała ta mordercza przeprawa, bo poza dość szerokim szeregiem potykaczy, a następnie rowem, trzeba było iść bardzo wolno i uważnie, pamiętając ostrzeżenie pana Bączka, że żołnierze niemieccy, nie bacząc, że to jest granica, bardzo często zapuszczają się w głąb wolnej Francji, penetrując teren przygraniczny.

W wolnej Francji - Ponownie w kleszczach niemieckich

Nad ranem dnia 27.10.1942 r. dotarliśmy wreszcie, całkowicie wyczerpani nerwowo i fizycznie, przemoczeni, i to więcej od wylanego potu, niż padającego przez całą noc deszczu, do francuskiej placówki straży granicznej i oddaliśmy się w ich ręce.

Dziwnym zbiegiem okoliczności zmieściliśmy się w zaplanowanym przeze mnie terminie dotarcia do wolnej Francji. Przed ucieczką napisałem do rodziny w Polsce, że a moje imieniny będą u kolegi por. Janka Biezanowskiego, i rzeczywiście, z pomocą Bożą, w wigilię św. Tadeusza byliśmy wolni.

Dowódca placówki, po nakarmieniu nas czekoladą i kawą, odstawił nas do swojej komendy, a ci przekazali nas do jakiegoś szpitala celem odbycia kwarantanny i na leczenie. Chyba pod wrażeniem odzyskanej wolności nie zapamiętałem nazwy tej miejscowości.

Po odbyciu tygodniowej kwarantanny przekazano nas do Polskiego Schroniska w Auch, a stąd 10.11.1942 r. - do Montestruc.

Krótko trwała nasza radość z odzyskania wolności, ponieważ 11.11.1942 r. zaskoczyła nas wiadomość o zajęciu przez armię niemiecką również całej południowej, dotąd tak zwanej wolnej Francji.

Ponieważ obsadzili wybrzeża i granicę z Hiszpanią, nasz plan przejścia przez Pireneje, by przez Hiszpanię szukać drogi do Anglii, z konieczności musiał ulec przesunięciu w czasie.

Z Montestruc przeniesiono nas do Mont Dore, do Polskiego schroniska, w którym przebywaliśmy od 5.12 do 27.01.1943 r.

Myśl o wydostaniu się z niemieckiego kot spędzała nam sen z powiek, aż pewnego zimowego dnia nadarzyła się okazja do wyjazdu do Bagnols de Bains, a stamtąd do Perpignan.

Doszliśmy do gór, gdzie zorganizowano większą grupę Polaków i opłacony przez polskiego łącznika przewodnik miał nas przeprowadzić przez Pireneje na stronę hiszpańską.

Nieuczciwy przewodnik, nie pamiętam, czy był to Francuz, czy Hiszpan, wyprowadził nas niezbyt daleko w góry i, zasłaniając się niebezpieczeństwem ze strony patroli niemieckich, jak i hiszpańskiej straży granicznej, oświadczył, że dalej nie pójdzie, i pozostawił nas własnemu losowi.

Podzieliliśmy się na małe grupki. Ja poszedłem z moim towarzyszem ucieczki, Jankiem Kaźmierczakiem i dobraliśmy do siebie „na trzeciego” młodszego od nas aspiranta Józefa Srokola, który, o ile się nie mylę, też był uciekinierem z Niemiec. Szczytami gór biegła granica i był stąd niezapomniany widok na Morze Śródziemne.

Droga przez Hiszpanię

Pireneje przeszliśmy szczęśliwie. 4.02.1943 r. nad ranem byliśmy już w Hiszpanii. Dzień przeleźliśmy w

wysokich trawach u stóp gór, kryjąc się przed penetrującymi góry Hiszpanami. Zdarzały się bowiem wypadki oddawania w ręce Niemców złapanych na granicy cudzoziemców.

Nocą przeszliśmy miejscowość Figueras z zamiarem dojścia do Barcelony, do Polskiej Ambasady. Następny dzień spędziliśmy w przydrożnych krzakach przed miejscowością Gerona. Wieczorem przeszliśmy geronę na bosaka, ale pech chciał, że niedaleko za miastem na polnej drodze natknęliśmy się na patrol policyjny.

Zawrócili nas do miasta i za nielegalne przekroczenie granicy osadzono nas w miejscowym więzieniu. Więzienie wypełnione było republikanami z okresu wojny domowej, w wielu celach śmierci od kilku lat ludzie oczekiwali na wykonanie wyroku.

Nas osadzono na drugim piętrze w obszernej celi zbiorowej, zatłoczonej takimi przestępcami, jak my, lecz różnej narodowości. Bez posłania i przykrycia spędziliśmy na gołym betonie, przy wejściu do cuchnącego ustępu, około trzech tygodni.

Dopiero w czwartym tygodniu, na interwencję czerwonego Krzyża, chyba Brytyjskiego, wydano nam po jednym kocu. Warunki pod każdym względem były fatalne, wyżywienie beznadziejne.

Dopiero na interwencję naszego Rządu Londyńskiego, jak się domyślamy, popartą dewizami, zaczęto nas sukcesywnie zwalniać w marcu, pod pretekstem chorób.

Najpierw zwolniono Amerykanów, Kanadyjczyków i Anglików, potem Żydów, a na końcu Polaków. 3 marca 1943 r., po miesięcznym pobycie w więzieniu, zostałem zwolniony i razem z kolegami pojechałem do Barcelony.

C.D.N.
Tadeusz Kramarz

HISTORIA

Wspomnienia gimnazjalisty od św. Jacka (6)

Moje Szkolne Przygody (1)

Każdy młody człowiek przeżywa w okresie szkolnym różne przygody, czasem są to niewinne figle płatane profesorom i kolegom, czasem poważniejsze historie potracające niejednokrotnie o kolizję z dobrymi obyczajami, a nawet moralnością. Przeżywałem i ja, jako ruchliwy i chętny do psot młodzieniec swoje przygody, o kilku opowiem, może przydadzą się one nawet ku przestrodze niektórym dzisiejszym młodzieńcom.

DYMEK Z PAPIEROSA

Pisząc o niektórych profesorach naszego Gimnazjum wymieniłem nazwisko p.prof. Albina Jury, jako doskonałego organizatora wycieczek krajoznawczych po Polsce. Otóż w maju 1938 roku p. profesor zorganizował prawie całotygodniową wycieczkę na trasie: Dębica (budowano wtedy Cent. Ośrodek Przem.) - Sandomierz - Lublin - Lwów - Krzemieniec.

W Krzemieńcu zamieszkaliśmy w słynnym Liceum Krzemienieckim (koedukacyjne), gdzie przywitano nas bardzo serdecznie i goszczono świetnie.

Do Krzemieńca dotarliśmy wcześniej rano pociągiem - jadąc nocą byliśmy zmęczeni i niewyspani, ale byliśmy przecież młodzi, co nam tam zmęczenie! Profesor dał nam wolny czas do obiadu, aby go wykorzystać we własnym zakresie.

Kolegowałem się wtedy bardzo blisko ze Zdzichem Bytnarzem - doskonałym pianistą, późniejszym dyrygentem Filharmonii Bałtyckiej - dziś już niestety nieżyjącym. Zdzich zaproponował, abyśmy się przeszli po Krzemieńcu i sprawdzili, czy dziewczęta tu ładne i zgrabne.

Ówczesny Krzemieniec był małym miasteczkiem kresowym na rubieży Polski, dosyć chaotycznie zabudowanym, z jedną ulicą z prawdziwego zdarzenia. Spacerowaliśmy

po tej ulicy w granatowych mundurach szkolnych - na spodniach czerwone lampasy, na ramieniu tarcza z numerem szkoły: 357.

Zdzichu był nałogowym palaczem, ja nie paliłem wcale. Wyjął paczkę "ekstra płaskich" i próbuje mnie poczęstować papierosem, ja się opieram, odmawiam tłumacząc, że dobrze wie, iż nie palę, ale kolega natarczywie nadal kusi: „Zapał, co Ci zależy, w tej "dziurze" nikt nas nie złapie...” No i zapaliłem.

Nie uszliśmy dalej niż 50 m, a tu jak spod ziemi wyrasta przed nami policjant, pasek od czapki pod brodą - znak, że jest na służbie - i z groźną miną krzyczy: „To tak... panowie studenci aż z Krakowa przyjechawszy, by na kresach propagować publiczne palenie tytoniu i gorszyć tu tejszą młodzież”.

Muszę w tym miejscu przypominieć, że przed wojną palenie papierosów przez młodzież szkolną, tak publicznie, jak i prywatnie, było zabronione „Ustawą O Szkolnictwie” i za takie przestępstwo wylatywało się z hukiem ze szkoły i to w dodatku z tzw. "wilczym biletem”.

Policjant bierze nas do najbliższej bramy, legitymuje i grozi doniesieniem do Kuratorium w Krakowie. W nas jakby piorun strzelił - jeszcze Zdzichu jako nałogowy palacz wpadł słusznie, ale ja biedaczyna, który nigdy przedtem nie miał papierosa w ustach miałem ponieść takie ciężkie konsekwencje?

Wracamy do liceum jak struci, obiadu nie tykamy, wieczorem jest zabawa taneczna na cześć "Krakusów", szkolna - świetna zresztą orkiestra - "rźnie" od ucha, wszyscy się bawią doskonale, tylko my ze Zdzichem siedzimy ponurzy pod ścianą.

W pewnym momencie podchodzi do nas prefekt-katecheta i strofuje nas, że dziewczyny "pietruszkują"

(tzn. że nikt ich nie poprosił do tańca), a my leniuchujemy, "kręcimy", że jesteśmy zmęczeni i niewyspani.

Zacny księżulu był zbyt dobrym psychologiem, aby w to uwierzyć, popatrzył nam w oczy i mówi: „Nie kręćcie. Wy macie coś na sumieniu i to was gryzie”. Co było robić - przyznaliśmy się do wszystkiego, prosząc o pomoc, a Ksiądz na to: „Chodźcie ze mną”.

Zabrał nas do gabinetu dyrektora, bierze za telefon i dzwoni, jak się okazało do komisarza policji i miejscowego jej komendanta, relacjonuje mu całą sprawę i prosi o nie wysłanie meldunku do Krakowa. Za chwilę słyszymy, jak zacny Ksiądz powtarza głośno odpowiedź komisarza: Mam meldunek, drę go w tej chwili i wrzucam do kosza, meldunku do Krakowa nie będzie. Uszczęśliwieni, rzucamy się całować dłonie szlachetnego prefekta, który się śmieje, grożąc nam palcem popędza do zabawy. Nie trzeba było nam tego dwa razy powtarzać, porywamy do tańca miłe Krzemieniczanki i tańczymy... jak opętani.

Opisany tu przypadek tak mi obrzydził palenie papierosów, że byłem abstynentem aż do 40-ego roku życia. Niestety, potem zacząłem palić, i to z chwilą, gdy objąłem odpowiedzialne i bardzo stresujące stanowisko dyrektora Kolejowych Zakładów Nawierzchniowych w Bieżanowie. Na emeryturze znowu przestałem palić i od lat ponad 20 lat jestem znowu człowiekiem wolnym od szkodliwego nałogu.

Tak to jeden jedyny dymek z papierosa mógł przekreślić, lub co najmniej mocno skomplikować moją karierę szkolną - NIE PALCIE MŁODZI!

C.D.N.

mgr Zygmunt Kłański
b. uczeń od św. Jacka



REPORTAŻ

Biezanów a dzieje Polski

Te strony „Płomienia” w ostatnich numerach najczęściej zajmowały wywiady i reportaże opisujące otaczającą nas rzeczywistość, przedstawialiśmy problemy jakie nękają mieszkańców w Biezanowie. Postanowiliśmy więc na chwilę odejść od biezących problemów i zająć się zupełnie innym tematem. Postawiliśmy sobie pytanie, czy nasza miejscowość „zaznaczyła się” w dziejach Polski, czy Biezanów był świadkiem wydarzeń, które możemy uznać za historyczne? A oto wyniki naszych poszukiwań.

Na początku kilka słów o historii naszej miejscowości, a sięga ona czasów prehistorycznych. Dowodem na to są urny jakie odkopano na terenie wsi Biezanów, a oto co o tym odkryciu napisał w kronice parafialnej ks. Stanisław Osuchowski... *„Na Kaimie w Biezanowie podle drogi nad strumieniem ciągnącym z Olszyny Dworskiej wyorał parafianin Adam Stryczkowski w 1841 roku wielki garnek gliniany, mający formę rynienki bez nóżek z dwiema małymi wypustami u góry czyli uchem. Dna już nie było u tego garnka. W środku miał kraje dookoła wysadzone gliną czerwoną tzw. cielistą, a zewnątrz był szary czyli z gliny siwej. Gлина była jakby źle wypalona. Grubość ścianki garnka więcej jak pół cala, a w nim były prochy zmarłych...”*

Pierwsze pisane wzmianki na temat Biezanowa, który swoją nazwę zawdzięcza swojemu pierwszemu właścicielowi Besanowskiemu (XII wiek), znajdujemy w legacie, zapisie testamentowym z 11 maja 1212 roku. Od 1422 roku Biezanów była już parafia. Kapituła krakowska aktem fundacyjnym z 4 października powołała do życia Parafię biezanowską i wystawiła drewniany kościół. Decyzję tą uzasadniono faktem, że najbliższy kościół w mieście Wieliczce, która w 1370 roku otrzymała mury obronne, w czasie zamknięcia bram miasta był dla mieszkańców Biezanowa niedostępny.

Na przełomie XVII i XIX wieku Biezanów był częścią Galicji Zachodniej, później Księstwa Warszawskiego, a na-

stępnie Galicji i Londomerii. Druga połowa XIX wieku to okres kiedy zaczęło się coraz więcej słyszeć o Biezanowie w Galicji i nie tylko. Stało się tak m.in. dzięki biezanowskiemu chórowi powołanemu do życia w 1885 roku przez księdza Kufla. Chór miał odciągnąć chłopów od karczmy, gdzie wówczas skupiało się całe życie kulturalno-rozrywkowe wioski. Początkowo chórem kierował nauczyciel szkoły powszechnej w Wieliczce Władysław Dąbrowski, a następnie miejscowy organista Jakub Jamka. Chór składający się z 40-50 osób śpiewał na uroczystościach w kościele w Biezanowie, ale nie tylko. Występy w Krakowie i okolicznych miejscowościach dały mu sławę, która doprowadziła go do występów w Pradze, a nawet we Wiedniu w 1890 roku w sali Music Verein na koncercie zorganizowanym przez komitet Polaków na rzecz dotkniętych powodzią włościan galicyjskich. Chór włościański występował w narodowych strojach, które sprawił mu ks. Kufel.

Początek I wojny nie był zbyt „łaskawy” dla Biezanowa. Już w pierwszych dniach działań wojennych wojsko austriackie obawiając się, że wieża kościelna będzie stanowić bardzo dobry punkt obserwacyjny, zrównały ją z dachem kościoła. Na początku grudnia 1914 roku wojska rosyjskie zaczęły ze wzgórza Bogucice-Kaim ostrzeliwać forty twierdzy Kraków. Spowodowało to również zniszczenia na terenie Biezanowa.

W okresie międzywojennym mieszkańcy Biezanowa starali się pomagać odbudowującej się po okresie zaborów ojczyźnie. Przykładem takiej patriotycznej postawy może być ofiarowanie w 1931 roku lotnictwu samolotu ufundowanego przez mieszkańców Biezanowa. Samo przekazanie „latającego” prezentu było bardzo podniosłą uroczystością. Wśród wielu przybyłych gości był min. Minister Kwiatkowski.

Dramatyczny dla Polski dzień 1 września rozpoczął się od nalotów i bombardowania stacji kolejowej w Biezanowie.

Później przyszedł czas na tłumy uciekinierów ze Śląska udających się na wschód wzdłuż linii kolejowej i drogi przebiegającej przez Rżakę...

Lata wojny minęły w Biezanowie na cichym oporze i tajnej działalności podziemnej. Jako ciekawostkę podać można, że wiosną 1942 roku spędził w Biezanowie Władysław Gomułka pod pseudonimem Wiesław Krajewski. Wyzwalanie Biezanowa rozpoczęło się w sobotę, 20 stycznia 1945 roku. Walki trwały przez cały następny dzień. Wreszcie upragniona wolność nadeszła 22 stycznia.

W 1945 roku Biezanów był również świadkiem ostatniej drogi Wincentego Witosa. I właśnie krótki opis tego wydarzenia należy w tym miejscu przytoczyć. Tym bardziej, że jest to fakt raczej zapomniany.

Wincenty Witos zmarł w wieku 72 lat 31 października 1945 roku w szpitalu Bonifratów w Krakowie. Uroczystości pogrzebowe rozpoczęły się Mszą Świętą w kościele Mariackim w Krakowie. Dalszy ciąg uroczystości odbywał się na krakowskim rynku. Na koniec ruszył wielki kondukt pogrzebowy. Jego blisko stukilometrowa trasa wiodła przez Biezanów, Wieliczkę, Bochnię i Wojnicz do Wierchosławic.

W ten sposób Biezanów na pewno głównie dzięki uwarunkowaniom geograficznym, był świadkiem wielkiego wydarzenia o historycznym wymiarze. Właśnie wielkim atutem Biezanowa jest jego położenie między Krakowem, dawną stolicą Polski, a Wieliczką, która swoją wysoką rangę zawdzięcza kopalni soli. To umiejscowienie sprawiało, że bardzo często ważne wydarzenia rozgrywały się w bezpośredniej bliskości Biezanowa. Jeśli dodamy do tego jeszcze wiele inicjatyw mieszkańców naszej miejscowości, które rozślawiały Biezanów w Polsce i poza jej granicami, możemy powiedzieć, że Biezanów był miejscowością, która była znana ówczesnym Polakom.

Paweł



HISTORIA KOŚCIOŁA (3)

PRZEBACZENIE

W dzisiejszych czasach wielu z nas - współczesnych ludzi - uskarża się na formę sakramentu pokuty. Wydaje nam się, że to, co musimy przeżywać w sumieniu przed i w czasie spowiedzi i tak samo w sobie jest już za wielką karą za nasze występki. Jednak, gdy przyjrzymy się historii i formą tego sakramentu w początkach chrześcijaństwa, zauważymy, że forma pokuty i spowiedzi bardzo złagodniała.

Sakrament pokuty został ustanowiony przez Chrystusa, który przekazał moc odpuszczania grzechów najpierw Apostołom, a potem ich następcom. Powiedział on: "Weźmijcie Ducha Świętego! Którym odpuszcicie grzechy są im odpuszczone, a którym zatrzymacie są im zatrzymane". To potwierdza, że sakrament ten udzielany jest mocą Ducha Świętego. Jednak w tym ewangelicznym zapisie nie jest powiedziane w jaki ma się to dokonywać sposób. Chrystus potwierdza dowolność co do formy odpuszczania grzechów.

W początkach naszej ery dużo ludzi uznawało, że sakrament spowiedzi świętej można przyjąć tylko jeden raz w całym życiu. Dlatego bojąc się by nie popełnić jakiegoś złego postępków po spowiedzi, najczęściej przyjmowano ten dar Ducha Świętego zaraz przed śmiercią. Jako przykład widzimy postać cesarza Konstytucja, który przyjął sakrament pokuty właśnie w ostatnich chwilach swojego życia. Jednak wielu spowiadało się wielokrotnie i wiele razy grzechy zostały im odpuszczone. Bardzo ciekawe jest to, że forma spowiedzi była w starożytności wielokrotnie zmieniana z wielu różnych powodów.

Od około II wieku praktykowano publiczne wyznaczenie grzechów. Przychodził człowiek i przed biskupem w obecności wspólnoty mówił np. „zabiłem człowieka”. Nie istniało pojęcie tajemnicy spowiedzi. Będący we wspólnocie wcale nie musieli zachowywać usłyszanych występków

głęboko w swoim sercu. Biskup nakładał nawet publiczną pokutę, nie udzielając od razu rozgrzeszenia.

Z dokumentu z VI wieku mówiącego o praktyce pokuty możemy się dowiedzieć, że człowiek, któremu została zadana pokuta nie może uczestniczyć w całej liturgii. Może on przebywać wśród wspólnoty jedynie do liturgii słowa.

Oczywiście za lżejsze przewinienia wyznaczana była pokuta lżejsza, za cięższe - cięższa. Przykładem pokuty może być np. noszenie włósenicy, pielgrzymka o chlebie i wodzie do Ziemi Świętej, jałmużna. Kara za grzechy mogła trwać od 5 - 20 lat.

Po odprawieniu pokuty człowiek wracał do biskupa i wtedy dopiero udzielał on mu rozgrzeszenia i dopiero wówczas z czystym sumieniem nasz delikwent mógł wrócić do wspólnoty.

Okazało się jednak, że zdobywanie rozgrzeszenia i odprawianie pokuty w takiej formie jest zbyt trudne i nazbyt skomplikowane. Dlatego w V wieku Leon Wielki wprowadził zasadę, że wystarczy wyznaczenie grzechów przed kapłanem. W ten sposób zakończyła się spowiedź publiczna.

Wstępnie w VII wieku została zlikwidowana publiczna pokuta, a na jej miejsce przyjęła się pokuta prywatna w złagodzonej formie.

Dopiero w IX wieku rozgrzeszenia zaczęto udzielać zaraz po wyznaniu grzechów. A ponieważ kara za grzech nie była już tak długotrwała jak na początku w XIII wieku wprowadzony został obowiązek spowiedzi corocznej, który obowiązuje do dziś dnia.

Jak więc widzimy, my przyjmujemy dar Ducha Świętego w o wiele łagodniejszej formie niż nasi przodkowie. Jednak mało znacząca jest forma pokuty. Ważne jest to, że Kochający nas, miłosierny Bóg dał nam ten sakrament dzięki, któremu wciąż możemy pozostawać blisko Niego.

Madzia

MŁODYM

Zawód Samarytanin - vacat

Idę ulicą Śnieg. Chłapa. Ciemny wieczór. Idę szybko. Dochodzi szósta, a ja chcę zdążyć do Kościoła. Przechodzę koło klubu na naszym osiedlu. Krzyki, śpiewy. Pełno pijanych facetów. Dwóch idzie ulicą. Boję się. Właściwie czego? Już się przyzwyczaiłam, przecież często tędy chodzę. Już się przyzwyczaiłam... idę dalej. Oni skręcają w stronę klubu. Chcą wejść do środka. Niestety, drzwi okazują się dla nich zbyt wąskie. zdziwieni spływają po ścianie. Ledwo podnoszą się, w końcu wchodzą.

Często widzimy takie i podobne sytuacje. Ludzi, którzy chyba nie są świadomi jak wyglądają, jak się zachowują. I to tak blisko wokół nas. W ogóle się tym jednak nie zajmujemy. Co nas obchodzi jakiś człowiek starający się dojechać do następnego słupa, aby na chwilę oprzeć się, a potem "potoczyć" dalej przez siebie? Często przechodzimy obojętnie, udając, że nie widzimy. Boimy się, żeby nas tylko nie zauważył, nie zaczepił.

Och! Jakby przydałby nam się człowiek, który kiwnąłby za nas palcem. Czy gdzieś są jeszcze miłosierni samarytanie?

Samarytaninie podejdź!

Spadł śnieg. Łód. Ślisko. Ledwo trzymam się na bolących, całych poodciskanych, starych nogach. Z trudnością udaje mi się nimi poruszać. Włóczą się prawie nie zginając. Jak spróchniałe kołki. Ostatkiem sił i ciągle powtarzając sobie, że muszę, posuwam się powoli do przodu. Nie można tego nazwać chodzeniem. Ledwo kuśtykam. No cóż muszę się z tym pogodzić. Serce tak przeraźliwie boli. Jest dla mnie ciężkie jak kamień. Podobno ledwie bije - tak mówią ci wszyscy młodzi, rześcy jak byczki lekarze. Ciekawe czy widzą na pewno czy tylko słowami próbują mnie dobić. Nie dziwię się temu ledwie pracującemu narządowi - 80

lat to przecież dużo. W jednej ręce trzymam przemoczony parasol. Śmieszne słowo na określenie tego zniszczonego przez wiatr szkieletu. W drugiej ręce trzymam dwie pękate, ciężkie siatki, które przechylają mnie na bok. Przyciskają mocno do nierównego chodnika. Lekarz zabronił dźwigać, ale przecież muszę "iść" do sklepu. Coś jeść. Jakoś żyć. W tych siatkach jest przecież moje życie, nikt za mnie przecież tego nie zrobi. Zresztą i tak nie mam nikogo. Zostałam sama. Idę do domu, do starej rozleciałej rudery. Jestem tak blisko, już mam tylko przejść przez ulicę. Tyle jeździ rozjeżdżonych samochodów. Kierowcy nawet pewnie nie patrzą na jezdnię. Nie uważają na przechodniów. Droga taka oblodzona, niczym nie posypana. Idę powoli, tak łatwo można się wywrócić. Wiele ludzi przechodzi obok. Wiele młodzieży. Nawet nie pomyślą, że ktoś taki może potrzebować pomocy. Szkoda. Może jak będą w moim wieku zrozumieją, że każdy ruch to wysiłek, tyle trudności, tyle bólu.

I ty możesz zostać samarytaninem. Słuchaj nierozumny, pozbawiony rozsądku, ślepy na własne otoczenie człowieka. Jesteś wolny! Możesz sam decydować jak będziesz się ubierał, jakich będziesz mieć przyjaciół, jak będziesz postępować. Ty możesz wybrać życie ledwo trzymającego się na nogach, stale zachlanego pijaka. Zwykłego "jednakowca", szarego "przeciętnia-ka". "Ślepa" bo teraz taka moda. Leniwego Judasza. Czy nawet egoistycznego łotra. Ale dlaczego wśród tak wielu autorytetów świętych, którzy byli wielcy, Ty nie starasz się być choćby "mały". Możesz przecież wybrać inną drogę. Starać się kochać i być samarytaninem na co dzień. Czy to tak trudno podejść, zapytać, odprowadzić, porozmawiać, wziąć ciężką siatkę, czy nawet tylko powiedzieć: "dzień dobry" lub uśmiechnąć się przyjaźnie. Przecież stać Cię na to. Ty możesz być samarytaninem!

Vacat? - Nie Ja Samarytanin!

Maja



ŚWIADKOWIE WIARY

ŚW. KRYSTYNA (13 MARCA)

Pierwsze wieki chrześcijaństwa okryte są tajemnicą. Niewiele wiemy o pierwszych wyznawcach Jezusa, ich życiu i wierze. Przez wieki, szczególnie średniowiecza, wokół historii i żywotów pierwszych chrześcijan narosły legendy przepełnione fantazją, wierzeniami ludowymi oraz baśnią. Tak właśnie stało się z postacią św. Krystyny. Jednak z legend, mówiących o niej, możemy wybrać fakty historyczne, które pozwolą nam poznać jej prawdziwe życie.

Św. Krystyna pochodziła z **Tyru**, z **Fenicji**, czyli dzisiejszej Libii. Jej ojciec sprawował wysoki urząd, będąc namiestnikiem. Gdy więc w mieście rozpoczęły się prześladowania chrześcijan, wynikające z niezrozumienia nauki Chrystusa, w domu Krystyny rozpoczęły się przesłuchania wyznawców nowej wiary. I chociaż stosowano wymyślne tortury, pierwsi chrześcijanie byli nieugięci. W ich sercach głęboko zapadła nauka Mistrza o przyjęciu krzyża i naśladowaniu Go. Dlatego bardzo często swoją odwagą sprawiali, że ci, którzy ich przesłuchiwali, sami przyjmowali wiarę w jedyne Boga. Podobnie było ze św. Krystyną, która więźniów trzymany w jej domu z coraz większą ciekawością i podziwem wypytywała o ich Nauczyciela.

Po pewnym czasie Krystyna zetknęła się z dwoma ukrywającymi się chrześcijankami. To one najwięcej przekazały jej nauki Chrystusa, wypełniając duszę młodej dziewczyny miłością do odnalezionego Boga. Krystyna postanowiła więc pójść za Jezusem i zdecydowała się przyjąć chrzest.

Od tej pory i jej zaczęło zagrażać wielkie niebezpieczeństwo. Przez pewien czas ukrywała swoją wiarę przed ojcem, ale widząc wiarę, bezkompromisowość i odwagę chrześci-

jan, skazywanych przez jej ojca na śmierć, Krystyna postanowiła publicznie wyznać swoją wiarę. Na oczach ojca miała potłuc wszystkie posąжки pogańskich bóstw, jakie znajdowały się w ich domu. Oczywiście rozwścieczyło to ojca, który kazał wysmagać ją różgami. Myślał bowiem, że jego młoda córka z ła-twością wyprze się wiary w Chrystusa. Tak się jednak nie stało i Krystyna cały czas trwała przy Jezusie. Okrutny ojciec kazał torturować własną córkę. Krystyna była rozdierana żelaznymi hakami, obracana na kole, polewana wrzącym olejem, palona na wolnym ogniu, a wreszcie - z kamieniem u szyi - zatopiona. Inna wersja głosi jednak, że skończyła pod strzałami, którymi ją przeszyto.

Opisy jej śmierci z pewnością są mocno przesadzone, ale na pewno jest w nich i prawda. Niemniej już w IV wieku, a więc 200 lat od jej śmierci, spotykamy ślady jej kultu. Są one bardzo wyraźne zarówno na Wschodzie, jak i na Zachodzie.

W obecnych czasach centrum kultu św. Krystyny znajduje się nad Jeziorem Bolsena. Jest tam XV-to wieczny kościół poświęcony właśnie świętej ze wspnianym ołtarzem przedstawiającym sceny z jej życia.

Na obrazach św. Krystyna przedstawiana jest nie jako mała dziewczynka, lecz dorosła kobieta. Ma to symbolizować dorosłość jej wiary, męstwa i odwagi.

Krystyna to imię, które pochodzi z łaciny. Utworzono je od słowa "Christimus", znaczy więc "ta, która należy do Chrystusa". Pod tym imieniem występuje 7 świętych i 4 błogosławione. Najbardziej znana jest św. Krystyna z Persji zamęczona w 559 r. za panowania króla Chozroesa I. Jej patronalny dzień to **13 marca**.

Paulina



SANKTUARIA MARYJNE (13)

Nazaret

W 1955 roku archeolodzy odkryli ruiny starożytnego osiedla, które zidentyfikowano jako nowotestamentalny Nazaret, miejsce w którym mieszkała Maryja, miejsce Zwiastowania. Jak wykazały wykopaliska, było to raczej biedne miasteczko: zbiorniki na zboże, cysterny na wodę, prasy do wyciskania winogron świadczą, iż Nazaret było osadą rolniczą. Mieszkalne domy stanowiły skalne grotty z dobudowanymi według potrzeb rodziny ścianami. Cały szereg takich mieszkań odkrytych w czasach prac wykopaliskowych można oglądać w bezpośrednim sąsiedztwie obecnej Bazyliki Zwiastowania i położonego 100 m dalej Kościoła św. Józefa. Dom Maryi znajdował się w południowej części osiedla. Od najdawniejszych czasów w tym jednym określonym miejscu modlili się pierwsi wyznawcy Chrystusa wierząc, że „Tu Słowo stało się Ciałem”.

Wspomniane wcześniej wykopaliska ponad wszelką wątpliwość potwierdziły to tradycyjne przekonanie. Archeolodzy dotarli do dna wznoszonych w tym miejscu od dziewiętnastu wieków budowli, czyli aż do skalnej grotty. Po przypadkowym odbiciu tynku wyłonił się, wyryty niewprawną ręką, grecki napis: „Chaire Maria” - „Zdrowaś Maryjo” i fragmenty drugiego napisu odczytanego jako „Święte miejsce Maryi”. Dla uczonych nie było w tej chwili wątpliwości: to jest mieszkanie Maryi, to jest naprawdę miejsce Zwiastowania.

W miejscu tym na początku urządzono kaplicę, w której modlili się tzw. judeochrześcijanie wywodzący się zapewne z rodzin Maryi i Józefa oraz potomstwa tych rodzin. Chrześcijanie pochodzący z pogaństwa wzniesli tu w V w. Bazylikę typu bizantyjskiego, zachowując jednak w

pełni stan pierwotny grotty i jej otoczenia.

Świątynia ta w chwili, gdy w XI w. Ziemię Świętą zdobyli łacinnicy, była w znacznym stopniu zniszczona. Ocalała tylko Święta Grotta, podobnie jak to się stało w 1263 r., gdy rzymski kościół, zbudowany przez krzyżowców, został zrównany z ziemią przez wojska Bajarsa (potem w Nazarecie mieszkała tylko niewielka grupa mahometan).

Następny kościół zbudowali franciszkanie, którzy w 1620 r. otrzymali pozwolenie od życzliwego chrześcijanom emira Galilei na osiedlenie się w Nazarecie, jednak został on pół wieku temu zastąpiony monumentalną świątynią projektowaną przez architekta Giovanniego Muzio.

Zapewne nie ma pielgrzyma, który nie patrzyłby z głębokim wzruszeniem na ubogą, surową grotę z pokrytym czarną patyną dymu sklepieniem i na umieszczon na środku grotty okrągłą marmurową płytę z herbem franciszkańskim i z łacińskim napisem: „Verbum caro hic factum est” - „Słowo tutaj stało się Ciałem”. To tutaj w imieniu całej ludzkości Maryja zaprosiła swego Boga, aby przyszedł na ziemię i stał się Emanuelem - „Bogiem z nami”.

Dlatego z wdzięcznością dla Boga i dla Maryi wędrują do tego miejsca nasze myśli, gdy odmawiamy Anioł Pański, śpiewamy pieśni adwentowe, przeżywamy Roraty... Ci, którym pozwalają na to warunki, mieszkańcy całego świata przybywają tu osobiście, by pomodlić się w Nazaretańskim Domu, gdzie wielka Miłość Boga poszukującego człowieka spotkała się z miłością ze strony ludzkości - w sercu Maryi.

Górna Bazylika jest pomyślana jako pomnik wdzięczności Bogarodzicy za Jej obecność w historii róż-

nych narodów. Na ścianach świątyni widnieją dużych rozmiarów wizerunki Matki Bożej, czczonej jako Pani i Królowa wielu narodów. Z prawej strony od wejścia kolorowa ceramika przedstawia Matkę Boską Częstochowską z Mieszkiem I, Dąbrówką i biskupem Jordanem oraz żołnierzami polskimi w strojach historycznych.

Nad centrum kościoła wznosi się kopuła mająca kształt odwróconej lilii. Być może projektant świątyni chciał nawiązać do hebrajskiej nazwy miasta, która oznacza „pączek”, „rozwijający się kwiat”. Istotnie, Nazaret jak kiedyś tak i dzisiaj ma kształt kielicha kwiatu. Jest miasteczkiem białych domów biegnących rzędami z doliny ku szczytom, otaczających je wzgórz na przemian z pasami szarej zieleni oliwek i jasnej zieleni migdałów i opuncji. Wszystko to razem tworzy naturalny obraz o niewymownym widoku. Rzeczywiście: „Kwiat Galilei”.

Piękne jest również otoczenie Bazyliki Zwiastowania. Długi portyk, oddzielający sanktuaryjny plac od miasta jest swoistą galerią maryjnych mozaik będących darem różnych narodów. Szereg wizerunków otwiera złocista ikona Matki Boskiej Włodzimierskiej ze Świętej Rusi, potem bogato ubrana Królowa Walencji i Moreneta z Montserratu w Hiszpanii, Matka Boża Płacząca z Syrakuz, Bolesna ze Słowackiego Szaszтина, Nasza Pani Różańcowa z Kanady, Patronka Esperantystów... Madonny z Europy, Azji i obu Ameryk...

.....gdy dzwony biją na Anioł Pański ze wszystkich stron podążają rzeźbione i malowane Madonny, aby pokłonić się pokornej Dzieweczce z Nazaretu”.

Ewka



MOJA KSIĄŻKA

Szalony, fantastyczny sposób na wesołe życie

Co może zrobić pechowy samotny podróżny, który jadąc konno przez nieprzebyte bory siedemnastowiecznej Europy Środkowej miał nieszczęście zabłądzić i wpaść razem z wierzchowcem w bagno?

Większość szlachty i rycerstwa, jak również przedstawicieli prostego ludu, próbowałyby ratować własne życie kosztem wiernego rumaka. Ale nie baron von Münchhausen! Ten człowiek ma swoje sposoby na wyjście z nawet największych tarapatów. Cóż czyni? Rzecz najprostszą na świecie - zwyczajnie wyciąga siebie samego (i konia) za włosy z bagna.

Baron von Münchhausen istniał naprawdę. Ten niemiecki szlachcic na służbie u rosyjskiego cara, zasłynął wśród siebie współczesnych jako niesamowity fantast. Kiedy po służbie zasiadał w karczmie przy kielichu, zabawiał swoich słuchaczy opowiadaniem niestworzonych baśni, które nie miały w sobie ani cienia prawdopodobieństwa, a jednak podobały się ludziom ze względu na swój wyjątkowy humor.

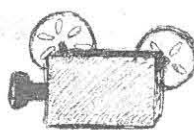
Von Münchhausen przeszedł do legendy. Kiedy już nie stało go na tym świecie, lud niemiecki wymyślał kolejne przygody szalonego barona. W drugiej połowie XVIII w. zebrał je i literacko opracował (dodając co nieco od siebie) niemiecki poeta, niejaki Gottfried August Bürger. Opowiadania o przygodach Münchhausena ukazały się drukiem w 1786 r., szybko zdobywając rozgłos nie tylko w Niemczech, ale i w innych krajach Europy.

Obecnie postać Münchhausena jest tematem dla kreseków przeznaczonych dla dzieci. Zresztą sama książka została przez wydawcę polskiego zakwalifikowana do kategorii „Klasyka dziecięca”.

Jednakże wydaje mi się, że warto udać się do biblioteki i na zapomnianej półce odnaleźć, być może nieco zakurzone, tom o przygodach niemieckiego szlachcica. Nam, dorosłym, z pewnością nie przyjdzie do głowy, by wierzyć choć jednemu słowu z opowieści Münchhausena, ale warto rozweselić serce, podziwiając ogrom wyobraźni człowieka, który stworzył legendę o sobie, i tych, którzy ją rozwinęli - legendę o baronie-samochwale, który latał na kuli armatniej, po łodydze fasoli wspiął się do księżyca, a tonący okręt wojenny uratował zatykając dziurę w kadłubie - jak to sam określił - „własną sempiterną”.

x. Krzysztof

Gottfried A. Bürger, *Przygody Münchhausena*, Nasza Księgarnia, Warszawa 1983.



MÓJ FILM

EKSTRADYCJI CIĄG DALSZY...

Idąc za namową reklam w TV i plakatami na mieście, zdecydowałam się wysupłać 8 zł na bilet, by zobaczyć "Nocne graffiti". Dużym walorem tego filmu miała być postać Moniki, którą zagrała debiutująca na ekranie Kasia Kowalska.

Niestety - bardzo się rozczarowałam. Tytuł "Nocne graffiti" można było z powodzeniem zamienić na "Ekstradycja II". Nie przyciągnąłby może aż tylu widzów (po bilety stałam w "ogonku"), ale przynajmniej odzwierciedlałby rzeczywistość: Marek Kondrat w roli głównej, trochę brutalności (choć na szczęście minęła już moda na słówko k... jako pierwsze i najważniejsze w słowniku bohaterów polskich filmów sensacyjnych) i jak zwykle - skorumpowana policja.

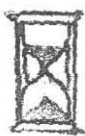
Kasi Kowalskiej udało się pokazać kilka razy na ekranie, ale jej Monika jest mało przekonująca i taka jakaś "bezpłciowa". I to bynajmniej nie z powodu braku talentu Kasi, ale dlatego, że scenariusz filmu jest po prostu kiepski. Reżyser i zarazem współscenarzysta "Nocnego graffiti" - Maciek Dutkiewicz nie stworzył nic nowego ponad to, co już zostało pokazane na ekranie.

Kossot, grany przez Marka Kondrata to jedyna postać posiadająca choć odrobinę charakteru. Cała reszta jest tak płytka i beznadziejnie nudna, że aktorzy pokroju Jana Peszka czy Jana Frycza zaskoczyli mnie przyjmując takie role. Czyżby wysokie gazy za udział w komercyjnych filmach przewyższyły ich ambicje i możliwości? Jeśli tak, to dużo stracą w oczach krytyków i widzów, a w każdym razie na pewno w moich.

Co tu dużo mówić? Film jest tandetny jak kiecka na bazarze, dlatego pochlebne słowa z moich ust nie usłyszysz. I zanim wybiorę się następnym razem do kina, poczekam najpierw na recenzje w gazetach. Bo 8 zł to dla przeciętnego ucznia zbyt dużo, by miał je wyrzucać w błoto.

Michaela

NOCNE GRAFFITI, reż. Maciej Dutkiewicz; wyk. Marek Kondrat, Kasia Kowalska, Jan Frycz, Marek Bukowski; Polska 1996r.



MINIATURA

„Bukiety” słów

Jak przez mgłę pamiętam pewną bajkę. Kojarzy mi się ona z małą lampką zapaloną w kącie pokoju, głowami sióstr, które leżały na sąsiednich łóżkach i którymś z rodziców czytających lub opowiadających bajki na dobranoc.

Wiem, że na pewno była tam księżniczka, piękny królewicz, ogromny zamek z ogrodem i oczywiście zła czarownica. Wiedźma rzuciła na księżniczkę zaklęcie, z którego mógł wyzwolić ją tylko książę. Nieszczęśliwa królewna spacerowała po ogrodzie, czekając na swego wybawcę, który bardzo długo się nie pojawiał. Nie mogła też nikomu powiedzieć o sposobie odczarowania, gdyż zamiast słów z jej ust wypadały piękne róże. Oczywiście wszystko się dobrze skończyło, jak to tylko w bajkach bywa, a w mojej pamięci został prak-

tycznie tylko obraz spadających na trawę róż.

W ciągu dnia przez nasze usta przewijają się tysiące słów - bardziej lub mniej potrzebnych, tych, które koją, ale i tych, które zadają rany i uderzają prosto w serce. Jedni mówią więcej, inni mniej, jedni z sensem, inni po to, żeby ćwiczyć mięśnie ust - bo do sensowności jest im jeszcze daleko. Nieraz powiemy o kilka słów, za dużo - w gniewie, przez przypadek, nie wiedząc, że słucha nas osoba, która nie powinna przy tej rozmowie być.

Każde wypowiedziane przez nas słowo coś zmienia, za każde jesteśmy odpowiedzialni. I to nie tylko za treść, którą przekazujemy, ale i za formę. Wulgaryzmy na stałe zadomowiły się w naszym języku; jesteśmy zaskoczeni, gdy słyszymy, że ktoś mówi, nie używając niecen-

zuralnych "przerwywników" - cudzoziemcy, którzy studiuja w Polsce przyznają, że pierwszymi słowami, których nauczyli się u naszym kraju były owe osławione, wszystkim znane "przerwywniki".

Nieraz przypominam sobie bajkę z lat dzieciennych - najczęściej wtedy, gdy słyszę te słowa, których raczej nie ma co szukać w "Słowniku poprawnej polszczyzny". I zastanawiam się, co - bo przecież nie kwiaty - spadałoby z ust tych mówców.

A jakie bukiety zrobilibyśmy my z kwiatów naszych słów? Czy można byłoby się z taką kompozycją pokazać się innym, czy można byłoby kogoś nią obdarować, czy można by ją było nazwać bukietem?

Ewa

TEKST NADESŁANY

PATRONOWIE BIEŻANOWSKICH ULIC (2)

Ulica Brunona Schulza

Bruno Schulz urodził się w 1892, a zmarł w 1942 w Drohobyczu, zabity przez gestapowca na ulicy.

Bruno Schulz - pisarz, krytyk literacki, grafik i nauczyciel, pochodził z mieszczańskiej rodziny żydowskiej. Uczył się w Drohobyckim Gimnazjum, a po maturze w 1910 studiował architekturę na Politechnice Lwowskiej. Po wybuchu I-szej Wojny Światowej wyjechał z rodziną do Wiednia i tam przez pewien czas studiował na Akademii Sztuk Pięknych. Jednak zły stan zdrowia i oraz brak środków materialnych (których brakowało mu przez całe życie) zmusiły go do zajęcia się pracą zarobkową i powrotu do rodzinnego Drohobycza.

Od września 1924 do końca września 1939 był nauczycielem rysunku i robót ręcznych w Gimnazjum im. Władysława Jagiełły w Drohobyczu, prowadził też zajęcia w gimnazjum prywatnym oraz w szkole powszechnej. W roku 1928 napisał "Noc Listopadową" i zaczął wystawiać w warszawskim Salonie Wydawniczym swoje prace graficzne, litografie, sztychy i rysunki. Jako pisarza odkryła go Zofia Nałkowska, która się nim zaopiekowała i pomogła w wydaniu jego pierwszych utworów.

W roku 1938 został Bruno Schulz odznaczony Złotym Wawrzynem Polskiej Akademii Literatury. Chwilowa poprawa warunków materialnych pozwoliła mu odbyć kilka podróży: do Paryża, Warszawy, Lwowa i Szwecji, odwiedził także Kraków.

Opowiadania Brunona Schulza zawarte w tomach: "Sklepy Cynamonowe" (1934) i "Sanatorium Pod Klepsydrą" (1937) pozostaną na stałe w polskiej literaturze. Powieść "Mesjasz", nad którą pracował zaginęła, podobnie jak niemal cały jego dorobek malarski. Pozostały tylko niektóre rysunki zawarte w tece "Księga Bałwochwalcza". Był autorem rysunków do swoich

książek oraz ilustrował Książkę W. Gombrowicza "Ferdydurke". Przyjaźnił się z Witkacym, Tuwimem, Gombrowiczem, Brezą, Ortwinem. Prozę Brunona Schulza tłumaczono na wiele języków. W roku 1973 powstał wspaniały film "Sanatorium Pod Klepsydrą" w reżyserii Wojciecha Hassa.

W opowiadaniu "Kometa" przedstawił świat który miał przestać istnieć - jakby przewidując swoją śmierć.

Po wybuchu wojny i zajęciu Drohobycza przez Niemców, został osadzony w tamtejszym getcie. W roku 1942 zatrudniony został w Żydowskim Domu Starców przy porządkowaniu skonfiskowanych i przewiezionych tam przez okupanta księgozbiorów, głównie z biblioteki Ojców Jezuitów w Chyrowie. Znajdował się w tym czasie w skrajnej nędzy, otrzymywał czasem nieco żywności od gestapowca F. Landaua, stolarza z Wiednia, snubującego się znajomością z artystą.

Przyjaciele przekazali Schulzowi fałszywą "kenkartę" i środki na wyjazd do Warszawy, uzyskane z kół zbliżonych do AK, lecz już z tego nie skorzystał. Dnia 19 listopada 1942 w czasie tzw. "czarnego czwartku" zastrzelił go na ulicy Mickiewicza gestapowiec Karl Günter.

Opracował Stanisław Jędrzejczyk

P.S. Pozwoliłem sobie tak szczegółowo przedstawić sylwetkę Brunona Schulza, ponieważ wielu Biezanowiaków, nawet mieszkających na tej ulicy, nie bardzo akceptowało zmianę jej nazwy. Myślę, że po zapoznaniu się z powyższym artykułem zmieniają zdanie.



DOBRE MANIERY DROGĄ DO KARIERY

"Od kwiatu żąda się zapachu, od człowieka - uprzejmości."

(Przysłowie hinduskie)

Dom to nasze najbardziej osobiste miejsce na planecie Ziemi, ostoja prywatności i bezpieczne schronienie. Tu możemy uwolnić się od służbowych rytuałów i towarzyskich konwensansów. W domu możemy być na luzie i naprawdę sobą. Rzecz tylko w tym, kim naprawdę jesteśmy. Prawdziwy dom to coś więcej niż dach nad głową, miejsce do spotkania, jedzenia i oglądania telewizji. Dom to rodzina, wspólnota najbliższych sobie ludzi, to wzajemna serdeczność, tolerancja i wyrozumiałość. Dom powinien być miejscem, które lubimy, w którym naprawdę dobrze się czujemy, jesteśmy rozumiani kochani.

Od nas samych zależy, czy będzie to bezpieczna przystań, czy rodzinne piekło.

Atmosfera domu rodzinnego zależy od wszystkich domowników, od ich kultury osobistej, stylu życia, umiejętności okazywania sobie uczuć. Tę dobrą rodzinną atmosferę trzeba umiejętnie tworzyć i nieustannie podtrzymywać. Nie ma prostych recept na domowe szczęście, ale pewne zasady warto znać i stosować. Przede wszystkim zwracamy się do siebie w domu życzliwie i uprzejmie. Rano mówimy sobie "dzień dobry", a wieczorem życzymy sobie miłych snów. Nie zapominajmy o takich zwrotach jak "proszę", "przepraszam", "dziękuję".

Przynajmniej raz dziennie powiedzmy sobie coś miłego. Nie szczędźmy najbliższemu pochwał i komplementów. Żyjąc w rodzinie bądźmy w niej obecni, ni zamy-

kajmy się w kręgu własnych spraw, nie uciekajmy w lekturę i oglądanie telewizji. Choć przez pół godziny dziennie spróbujmy być naprawdę razem. Rozmawiajmy ze sobą, ale nie tylko o własnych zawodowych, nie tylko o troskach i kłopotach. W domu powinien dominować miły, pozytywny nastrój.

Nie demonstrujemy zwego zapracowania, przemęczenia i zniechęcenia. Unikajmy niedomówień i nieporozumień. Nie podnośmy głosu i nie obrażamy się na siebie z byle powodu. A jeśli się to już zdarzy, nie utrwalajmy i nie przedłużajmy wzajemnych dąsów.

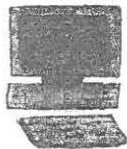
Umiejmy sobie wybaczyć potknięcia i słabości.

Julia

Z TECHNIKĄ NA CO DZIEŃ

Targi Elektroniki, Telekomunikacji i Techniki Komputerowej.

INFO-KRAK'97



W poprzednim numerze „Płomienia” w rubryce komputerowej ukazał się artykuł p.t. „Nowości na rynku komputerowym”. To właśnie w poszukiwaniu tych nowości wybraliśmy się na targi InfoKraK'97. Odbywały się one w dniach 12-15 lutego w Centrum Targowym Chemobudowa S.A. przy ulicy Klimeckiego 14 w Krakowie i były pierwszymi targami tego typu w naszym mieście. Tematem targów była technika komputerowa, elektronika i telekomunikacja, nas interesowały głównie komputery, dlatego poniżej postaramy się zdać krótką relację z tego, co przedstawiono w tej właśnie dziedzinie.

Wśród wystawiających swoją ofertę firm nie zabrakło znanych i liczących się na naszym rynku. Sprzęt telekomunikacyjny prezentowały m.in. Telkom-Telos (aparaty telefoniczne), Polkomtel S.A., Alcatel Polska S.A. oraz Easycall Poland (pagery) i B&S GSM (telefony ko-

mórkowe), a komputerowy-Optimus Net i Esc, Petroinfo Optimus oraz Bankowe Centrum Informatyki.

Wśród wielu prezentowanych „nowości”, bo tak naprawdę absolutnych premier w dziedzinie techniki komputerowej na targach nie było, na uwagę zasługiwały nowe dyskietki 3,5 calowe. Z zewnątrz wyglądają one tak samo, jak zwykłe dyskietki, mają taką samą wielkość, zapewniają jednak 80 razy większą pojemność (120 MB), a informacje przesyłają blisko 5 razy szybciej od powszechnie stosowanych dyskietek 1,44 MB. Jest to na pewno bardzo duże udogodnienie w technice komputerowej. Ponadto napęd nowych dyskietek może również pracować z dyskietkami 1,44 MB, co dodatkowo zwiększa możliwości jego wykorzystania w pracy z komputerem.

Coraz większe ilości danych zapisywane w komputerach (obecnie podstawowe sprzedawane konfiguracje komputerów zawierają twarde dyski o pojemności co najmniej 1,2

GB) sprawiają, że groźba utraty tych informacji jest tym, co spędza sen z powiek wielu ich użytkowników. Dlatego specjalizująca się w produkcji napędów taśmowych, umożliwiających archiwizację danych, firma Seagate oferuje całą gamę napędów sprzedawanych pod nazwą Seagate Tape Star. Poszczególne modele dają możliwość zapisania od 800 MB w modelu Tape Star 800, poprzez Tape Star 3200 z 3,2 GB, aż do Tape Star 8000 z 8 GB.

Również firma Imation zaprezentowała nową technologię Travan™, która spełnia wymagania dużej ilości pamięci. Zakres pojemności od 400 MB do 4 GB (bez kompresji), jaką zapewniają kasety wystarcza, aby podolać wymaganiom większości aplikacji komputerowych. Zwiększenie pojemności udało się uzyskać dzięki nowemu rozwiązaniu zastosowanemu w minikasetach Travan, w których wykorzystano dłuższą i szerszą taśmę magnetyczną. Firma Imation oferuje obecnie minikasety w

wersji TR-1 o pojemności bez kompresji 400 MB (800 MB po kompresji), TR-3 i TR-4 o pojemnościach odpowiednio 1,6 oraz 4 GB.

Na koniec kilka słów o ofercie firmy Optimus.. Na jej stoisku można było zapoznać się z najnowszymi produktami multimedialnymi dostępnymi na naszym rynku. Każdy mógł choć przez chwilę wypróbować możliwości programów do nauki języków obcych, czy encyklopedii multimedialnych. Dużym zainteresowaniem

cieszyły się także komputery podłączone do Internetu, dzięki którym można było samemu doświadczyć ogromnych możliwości oferowanych przez tą sieć, także zapoznać się również z ofertą samej firmy, która oferuje wysokiej klasy komputery oraz oprogramowanie, a także podłączenie do Internetu. Optimus Net projektuje i wykonuje serwisy WWW dla firm, które pragną zaprezentować siebie i swoje produkty potencjalnym klientom-użytkownikom Internetu na

całym świecie. Wszystkie informacje zawarte na stronach WWW mogą być na bieżąco aktualizowane, w zależności od bieżącej oferty prezentującej się firmy.

Największym jednak zainteresowaniem cieszyło się stoisko Gazety Wyborczej. Można tam było sprawdzić swoje umiejętności jazdy samochodem, gry w piłkę a także w wielu innych dziedzinach, grając w najnowsze gry komputerowe. **T&P**



POCZTA „PŁOMIENIA”

Torebka

Szanowna Redakcjo!

W odzewie na kazanie ks. Krzysztofa na temat poszanowania cudzej własności, pozwalam sobie przytoczyć to opowiadanie:

Było to ok. 10 lat temu w sierpniu - nad morzem - przebywałem tam z rodziną na czasach w Unieściu k. Mielna.

Po śniadaniu wyszedłem za spacer ścieżką prowadzącą na wydmie i usiadłem na ławce koło starszego Pana. W odległości ok. 10 - 15 m na dwu ławkach siedziały jeszcze cztery Panie. Była godz. 9.00. po pewnym czasie starszy Pan wstał i zaczął odchodzić, a na ławce pozostała damska torebka - zawolałem za nim "proszę Pana torebka" - starszy Pan zawrócił i powiedział do mnie "to nie moja torebka, jak tutaj przyszedłem, to ona już tu leżała" - mówię do niego, że trzeba z tym coś zrobić, odszukać właścicielkę? - muszę iść, gdyż mam wizytę u lekarza, niech się Pan tym zajmie i odszedł.

Siedzę godzinę, a właścicielka torebki nie nadchodzi - myślę, co z tym zrobić - jak odejdę, to może przyjdzie ktoś nieuczciwy i zabierze torebkę, a właścicielka może nie przyjść - bo mogła zapomnieć, gdzie ją zostawiła. Trudno spacer muszę odłożyć.

W torebce może być dowód osobisty, lub jakiś adres właścicielki - no tak, ale torebkę trzeba by otworzyć komisyjnie. Podeszedłem do ww. Pań siedzących na sąsiednich ławkach i poprosiłem o udział w komisyjnym otwarciu torebki. Trzy Panie zgodziły się, czwarta pozostała obojętna. Po otwarciu torebki stwierdziliśmy, że są w niej klucze do mieszkania, poważna suma pieniędzy w banknocie (26.000 zł - co stanowiło cztery dobre

pensje w owym okresie) oraz jedna fotografia przedstawiająca młode małżeństwo z dwojgiem małych dzieci - lecz niestety żadnego nazwiska czy adresu. Jedna z Pań stwierdziła, że przypomina sobie, jak na tej ławce siedziała młoda rodzina i że młoda kobieta miała właśnie takie bujne czarne włosy, jak ta Pani na fotografii.

Na początku wymyśliłem takie rozwiązanie, które zaproponowałem: wymienimy swoje adresy z dowodów osobistych - jeśli właścicielka zgłosi się tutaj przed godz. 13.00 - to jej oddam zgubę, lecz zobowiązę ją do pisemnego powiadomienia, że torebkę odebrała (każdą z Pań) - a jeśli nie przyjdzie do godz. 13.00 - to torebkę przekażę do księdza na plebanię, aby ogłosił jutro, tj. w niedzielę o zgubionej torebce. W ten sposób będą Panie mogły sprawdzić, że torebka została przekazana w całości.

Ponieważ jednak turnusy czasowe trwają miesiąc, do księdza zgłoszę także odbiór torebki tutaj - aby Panie mogły sprawdzić sprawę tutaj na miejscu i właścicielkę zobowiązę także do powiadomienia księdza. Propozycja moja została przyjęta przez wszystkie Panie.

Mija godzina za godziną, zbliża się pora obiadowa - Panie ze swoich ławek poszły już do swoich "domów czasowych" - na wydmie pozostałem już sam - i mój obiad także się zbliżał - ale wypadało czekać do godz. 13.00. O godz. 12.55 na ścieżce wychodzącej z lasu pojawiła się kobieta - biegnąca w kierunku mojej ławki, gdy się zbliżała poznałem, że jest Panią z fotografii znajdującej się w torebce. Gdy dobiegła do ławki była bardzo zdyszana długim biegiem. mówię do niej "proszę Panią jak

długo mam pilnować Pani torebki?" a ona "proszę Pana mąż mi mówił - nie chodź tam, tej torebki na pewno już nie ma - jednak teściowa zaczęła mi robić już wymówki, że te pieniądze miały starczyć na cały pobyt tutaj". Mówię "proszę przeliczyć, czy wszystko się zgadza? - przeliczyła i mówi - tak! - jak ja się Panu odwdzięczę? W tym samym czasie na ścieżce pokazała się druga kobieta - i biegła już wolniej w kierunku naszej ławki - była to teściowa tej Pani. Obydwie Panie przeciągały się w podziękowaniach i zapraszały na kawę - odmówiłem i odpowiedziałem, że był to normalny obowiązek każdego człowieka - ale Panie muszą napisać listy z powiadomieniem, że otrzymały torebkę z całą zawartością do tych trzech Pań, które były w komisji "otwarcia" oraz muszą zawiadomić o tym księdza proboszcza w Unieściu.

Właścicielką torebki była mieszkanka m. Szprotawy na Śląsku.

Zgodnie z umową z paniami z "komisji" - powiadomiłem po obiedzie księdza proboszcza - podając okoliczności dotyczące tej sprawy i poprosiłem, aby był uprzejmy poinformować owe Panie, że wszystko skończyło się dobrze.

Ksiądz proboszcz odpowiedział mi "Proszę Pana jestem tutaj proboszczem 23 lata - nie zdarzyło się jeszcze, aby ktoś oddał na plebanie zgubione pieniądze i to jeszcze taką kwotę" - skąd Pan jest - mówię, że z Krakowa - a Ksiądz mówi, że to chyba tylko w starych dzielnicach są ludzie uczciwi. Odpowiedziałem mu, że harcerzy jest w Polsce dużo.

S. J.

ROZMOWY Z KSIĘDZEM PROFESOREM (1)

Jak to było z Księdza powołaniem?

- Czy Ksiądz Profesor może opowiedzieć o tym, jak został księdzem?

- W czasie Pierwszej Wojny zostałem „parobkiem” u mojej Mamy. Tatę wzięli do wojska. Ja miałem 11 lat i byłem najstarszy z mojego rodzeństwa. Ciężko zachorowałem. Kiedy ojciec wrócił z wojny, powiada: „Na rok posłemy go do gimnazjum. To jest zdolny chłopak, poradzi sobie”.

- A który to był rok?

- To był 1918. Po ukończeniu drugiej klasy Gimnazjum w Oświęcimiu, zapisali mnie do Gimnazjum w Wadowicach. I tam byłem następne dwa lata. Po dwóch latach okazało się, że ojciec nie zdołał mnie utrzymać. Wtedy złożyłem podanie do Małego Seminarium, prowadzonego przy Pałacu Biskupim Kardynała Sapiehy. Skończyłem pozostałe cztery klasy ośmioletniego gimnazjum w Małym Seminarium.

- Ono było za darmo?

- Tak, a w gimnazjum trzeba było płacić. No więc, po gimnazjum zastanawiałem się, co robić, gdzie pójść. Wtedy śp. ks. Teodor Czaputa, który był opiekunem Małego Seminarium i katechetą u św. Anny, napisał do mnie: „Czy ci kto w głowie zawrócił, że jeszcze dotąd twoje podanie nie wpłynęło, a już jest wrzesień?”

(Ks. Czaputa miał kłopoty w czasie I wojny światowej ze strony Niemców. Oni wtedy pozdrawiali się słowami: „Boże, skarz Anglię”. On z tym walczył, więc przyszło mu stanąć przed trybunałem wojennym. Na szczęście mądry sędzia stwierdził: „Przecież ksiądz nie mógł inaczej mówić”. Groziło mu rozstrzelanie).

Tak więc, ksiądz Czaputa napisał do mnie serdeczny list i wstąpiłem do Wyższego Seminarium. Rektorem wtedy był ks. bp Stanisław Rospond, biskup pomocniczy krakowski. Był on wielkim przyjacielem młodzieży. Nawet chodziło takie powiedzenie-zagadka: Jaka jest różnica między Karolem Wielkim a księdzem rektorem? Jeśli ktoś chciał uzyskać łaskę od Karola Wielkiego, to szedł do niego po Mszy św. i Komunii św., a od księdza rektora - dopiero po papierosie i dobrej kawie.

W seminarium Pan Bóg dał mi tę łaskę, że ciągle byłem czymś zajęty. Zlecono mi drukowanie skryptów, bo wtedy nie było podręczników, poza jednym - do teologii moralnej. Więc przepisywałem je i drukowałem na powielaczku.

- Seminarium było przy ul. Podzamcze?

- Tak. Wtedy kończyli to nowe skrzydło. Kiedy przyszedłem, jeszcze go nie było.

- A ilu was było na roku?

- Dwudziestu siedmiu, ale skończyło z tego tylko dziewiętnastu. Czterech z nich zginęło w czasie wojny w lagrze, a reszta tak powoli poumieriała. Byli to ks. Szczepan Mrajca, który zginął w Mautausen. Ks. Franciszek

Krzewski, który pozostawił po sobie wspaniałą pamięć, zginął w Dachau. Przez niektórych jest nawet uważany za kandydata na świętego. Podobnie ks. Włodzimierz Pilchowski. Natomiast ks. Stanisław Proszak - on był przetrzucany z lagru do lagru i nie wiadomo, gdzie skończył życie. Ale nie wrócił.

Jednego z moich kolegów, ks. Władysława Magierę, zamordowali jego parafianie. Rozbijali sklep, a on podszedł do nich i powiedział: „Chłopcy, co wy robicie? Moi parafianie!” Na co oni: „Ksiądz nas poznał, nie wyjdziemy z więzienia”. To było na wsi koło Mszany, a na jakiej wiosce, już dzisiaj nie pamiętam.

- W którym roku to było?

- Zaraz po wojnie. To był naprawdę bardzo zdolny i Boży człowiek. Żaden z moich kolegów na szczęście nie porzucił sutanny, ale był taki jeden, który miał trudności. Wystawił trzy kamienice. Co gorsza, czternaście lat nie rozmawiał ze swoim bratem. Taka jakaś dziwna zapiekłość była w jego sercu.

Była jeszcze taka sytuacja z tym moim kolegą: ks. biskup Rospond bierzmował w parafii, gdzie był on proboszczem. I biskup pyta się pewnego chłopca: „Czy tyś się już spowiadał?” A ten odpowiada: „Nie, bo nie ma mnie kto wyspowiadać”. Powiada biskup: „Przecież ksiądz proboszcz siedzi w konfesjonale”. A mały: „Do takiego księdza, który strzela do kapłanów, nie pójde”.

Mianowicie ten mój kolega był wikarym w Sucheju. Proboszcz zamykał drzwi wejściowe o wyznaczonej godzinie i jeżeli ktoś się spóźnił, musiał go budzić. Pewnego razu ten mój kolega późno przyszedł. „Kto tam?” - pyta się proboszcz. A on miał przygotowany korkowiec i z korkowca strzelił. I wtedy poszła wiadomość do kurii, że chciał zastrzelić księdza. I ta opinia szła za nim potem przez całe życie.

- A jak przebiegały losy Księdza Profesora?

- Na pierwszej parwadzie byłem w Rabie Wyżnej. Miałem iść do Andrychowa, ale zamienili nas z ks. Boberem, bo on powiedział, że na wieś nie pójdzie. W Rabie byłem dwa lata. Odbywała się wizytacja biskupia i wtedy ludzie zaczęli prosić, żeby mnie zostawiono. Więc przydzielono mnie na katechetę do szkoły podstawowej do Balina koło Chrzanowa. Lecz w Balinie zachorowałem i wtedy zaczęło być bardzo ciężko. Balin należał wtedy do parafii Kościelec. Tak, że z Balina, który liczył 5000 ludzi, mieszkańcy, żeby coś załatwić w parafii, musieli iść przez Chrzanów do Kościelca. Brakowało intencji mszalnych. Wspomogli nas jednak cystersi z Mogiły. W zamian przez tydzień mówiłem w Mogiły po dwa kazania dziennie przed odpustem na Podwyższenie Krzyża.

- A który to był rok? Ksiądz Profesor święcenia kapłańskie otrzymał w 1929. A więc w Rabie Wyżnej był do 1931. Czyż nie?

- Tak. A potem w Balinie byłem rok. Później wysłano mnie do Zatorza. Tam umarł katecheta. Tam to już był 1932. W Zatorze - za blisko była rodzina (Polanka Wielka). I wtedy prosiłem, żeby mnie przeniesiono gdzie indziej. Poszedłem po czterech latach (1936) do Jaworzna, do Pechnika.

- W Pechniku zastała Księdza Profesora wojna.

- Tak. Ale Niemcy mówili: „Kołnierz odwrócić i do roboty”. Wtedy przydzielono mnie do ks. Sulińskiego, do Jelenia, żeby zejść im z oczu. Tam przebyłem całą wojnę pomagając jak się dało wraz z innymi więźniom w Oświęcimiu, w lagrze.

- Czy Ksiądz Profesor chodził do obozu?

- Nie, nie chodziłem. Byli ludzie, była taka pani, którą nazywali „Mama Lagrowa”, Niemka. Ona robiła paczki i szła z nimi nad Skawę i rzucała je w nadbrzeżnych krzakach. Więźniowie wydobywali bosy z rzeki kamienie na brukowanie ulic.

- A wy pomagaliście te paczki robić?

- Owszem. Ks. Hetnał, kolega z Brzeszcz, troszkę głuchy, troszkę niepozbierny, jednak był bardzo pracowity. Trzeba było codziennie rano dostarczyć mleko z mleczarni. Kwaszono je i robiono z niego sery. A potem z nich placki z serem dla więźniów.

W Jeleniu byli Ślązacy, bardzo życzliwi księżom. Pewnego razu taki niby burmistrz powiada do mnie; „Niech ksiądz do Oświęcimia nie jeździ, bo ksiądz jest na liście”. Ks. Suliński, który był we wrześniu 1939 wzięty jako kapelan do wojska, dostał się do niewoli rosyjskiej i był przeznaczony do Katynia, ale udało mu się uciec

dzięki pomocy pewnego człowieka. Tam spędziłem wojnę.

Po wojnie wróciłem do Jaworzna. Ale to było ponad moje siły - 47 godzin religii tygodniowo. Zachorowałem na zapalenie płuc. Wysłano mnie w 1946 do Trzebini do parafii św. Piotra i Pawła. Tam byłem dwa lata. Potem przeniesiono mnie do liceum do Suchej Beskidzkiej. Do 1951 r. tam byłem.

7 września 1951 r. przyszedłem do Biezanowa. Dzień przed odpustem i jeszcze w odpust miałem kazanie. Uczyłem w Biezanowie do końca lat siedemdziesiątych. Jeszcze trzy lata temu spowiadałem, odprawiałem Mszę św., mówiłem kazania.

Kilku proboszczów przewinięło się przez Biezanów w czasie mego pobytu. Przybyłem tu za śp. ks. kan. Macieja Jacaszka. Później przez długie lata proboszczem był śp. ks. prałat Marian Łączek. Po nim ks. prałat Antoni Sołtyś i ks. kan. Adolf Chojnacki. Przez jakiś czas administrował parafią ks. Tomasz Boroń. Później przyszedł śp. ks. kan. Stanisław Lejawka. Potem ks. kan. Jan Wais. Ten ksiądz był po wypadku. Dostał Biezanów, aby był blisko lekarzy. To się jednak okazało ponad jego siły. I proboszczem został jeden z ówczesnych wikarych, ks. Bogdan Markiewicz, który jest do dzisiaj.

- Ale o proboszczach porozmawiamy w innym czasie. A na razie dziękuję.

Z Księdzem Profesorem rozmawiał - ks. Krzysztof
(Rozmowa zarejestrowana 21.02.1997 r.
Tekst nieautoryzowany)

GOSCIENNIE

Dlaczego spowiednik?

Pośrednictwo Księdza w pojedynaniu grzeszników z Bogiem stanowi dla wielu trudność w przystępowaniu do sakramentu pojednania. Ludzie krytyczni wobec spowiedzi pytają: „Dlaczego spowiedź przed kapłanem, a nie przed samym Bogiem?”

Tymczasem taką właśnie formę pokuty zaproponował sam Chrystus gdy w wieczór zmartwychwstania przekazał apostołom władzę odpuszczania grzechów: „Weźmijcie Ducha Świętego! Którym odpuszczacie grzechy, są im odpuszczone, a którym zatrzymacie są im zatrzymane” (J 20, 22 - 23). Był to moment ustanowienia sakramentu pojednania i pokuty.

Przyznanie się do grzechów przed Bogiem i człowiekiem wymaga pokory a tym samym stanowi formę pokuty za popełnione zło.

Przyczyną niechęci do wyznawania grzechów przed kapłanem bywa przeakcentowaniem indywidualnego wymiaru grzechu. Tymczasem, każdy grzech ma swe **konsekwencje społeczne**. Grzech, który niweczy przymierze z Bogiem, pociąga za sobą również odwrócenie się człowieka od człowieka. Grzech w świetle Pisma św. zmienia stosunek człowieka do Boga i stosunek człowieka do człowieka. Dokonało się to już w życiu pierwszej pary ludzkiej. Adam odcina się od Ewy, oskarża ją.

Warunki dobrej spowiedzi.

1. Rachunek sumienia

Ideąłem chrześcijańskiego rachunku sumienia nie jest samo tylko porównanie swoich grzechów z przykazaniami jako prawem. Zastanawiając się nad swoim postępowaniem człowiek winien przede wszystkim uświadomić sobie, że stoicie

przed kochającym i miłosiernym Bogiem. Robiąc rachunek sumienia człowiek słucha, co Bóg ma mu do powiedzenia; jak On widzi jego życie i postępowanie, co złego jest w jego postępowaniu, a nawet myśleniu. To jest głos Boga. To nie mu sami dokonujemy rozrachunku.

2. Żal za grzechy

Jeżeli nie ma żalu, lub ktoś udaje żal, to chociażby ile było absencji - spowiedź jest świętokradzka. Żalu za grzechy nie można wiązać ze sferą czysto psychiczną. Jego istota nie leży w przeżyciu emocjonalnym, lecz usytuowana jest na poziomie woli. Kiedy człowiekowi jest przykro jedynie z powodu niewłaściwego postępowania, to nie jest to jeszcze pełny żal. Znakiem pełnego żalu jest pozytywna odpowiedź na pytanie: Czy gdybym się cofnął i dane mi było raz jeszcze podejmować decyzję, miałbym taką gotowość

walki, że nie popełniłbym tego czynu? Brak takiego wewnętrznego nastawienia i takiej gotowości sygnalizuje, że żal za grzechy nie jest prawidłowy.

Są trzy zasadnicze elementy autentycznego żalu za grzechy. Pierwszy to dostrzeżenie i uznanie zła z równoczesnym odkryciem, jaką stratę ponosimy w grzechu. Drugi to przyznanie się do tego zła. Trzeci to wzięcie odpowiedzialności za zły czyn. Judasz uznaje swój błąd ale nie szuka naprawy tego błędu. Nie wierzy w to, aby mógł odnaleźć sens swojego życia. Nie ma odwagi spojrzeć w oczy swojego Mistrza. Zabrakło mu w tym wypadku pokory. To jest żal ale niepełny. Taki żal najczęściej prowadzi do następnego grzechu. I tak się stało. Judasz do grzechu zdrady dodaje grzech samobójstwa. Każdy autentyczny żal wymaga pokory. Istotą żalu za grzechy jest umiejętność wzięcia odpowiedzialności za swój zły czyn. Piotr wziął odpowiedzialność za popełnione zło i próbuje je naprawić.

3. Mocne postanowienie poprawy

Poprawa wiąże się z żalem. Brak szczerzej chęci nawrócenia się na przeszłość a przynajmniej rozpoczęcia walki z grzechem sprawia, że sakrament zaistnieć nie może. Nie należy rozpamiętywać swoich win. W spotkaniach z grzesznikami Jezus nigdy nie zalecał opłakiwania swoich win, lecz uwalniając się od nich mówił: „Idź, a od tej chwili już nie grzesz”.

4. Szczera spowiedź

Św. Tomasz z Akwinu mówił: „Jeśli ktoś wypowiada ustami, czego nie ma w sercu, nie jest to wyznanie ale udawanie”. Świadome zatajenie grzechu ciężkiego podczas spowiedzi powoduje nieważność sakramentu i popełnienie świętokradztwa. Jeśli ktoś zapomniał wyznać jakiś grzech, powinien go wyznać przy następnej spowiedzi. Sakrament pokuty nie jest „automatem do oczyszczania się z grzechów” **lecz spotkaniem z kochającym, miłosiernym Chrystusem.**

Należy jeszcze zaznaczyć, że błędny jest zarzut iżby wyznanie czynów złych byłoby dla człowieka upokarzające.

Przyznanie się do czynu złego świadczy o odwadze i wielkości człowieka.

5. Zadośćuczynienie Panu Bogu i ludziom

Sakramentalne wyznanie grzechów jest punktem kulminacyjnym sakramentu pokuty. Nie można jednak oddzielić życia od sakramentu, dlatego, że skutki zła moralnego znikają wraz z przebaczeniem grzechów. Boże przebaczenie win nie pociąga za sobą automatycznie zanieśienia ich skutków np. nie usuwa cierpienia osób które zostały znieważone, fałszywie oskarżone, skrzywdzone moralnie lub materialnie. Zadośćuczynienie jest zatem pewną formą naprawy spowodowanego przez siebie zła, wynagrodzenia za nie np. zwrócenie skradzionej rzeczy, wynagrodzenie wyrządzonej straty, pojednanie się z bliźnim ...

Powszechnie przez zadośćuczynienie jako katechizmowy warunek sakramentu pokuty rozumie się praktykę pokutną, zleconą grzesznikowi przez kapłana, który działa „in persona Christi” (w imieniu Chrystusa). Pokuta podawana przy konfesjonale (którą należy odmówić) jest symbolem. Nikt ze spowiedników nie zna realnych wymiarów naszego życia. Wynagrodzenie powinno uwzględniać rodzaj popełnionego grzechu. Sam człowiek powinien określić w jaki sposób chce wynagrodzić Bogu popełnione zło. TO powinno należeć do przygotowania do spowiedzi. To jest dowód dojrzałej postawy, np. jeśli ktoś opuszcza Mszę św. powinien powiedzieć: pójde na Mszę św. e tygodniu. To jest wynagrodzenie.

Problem sakramentalnego zadośćuczynienia przybliżyła nam ewangeliczna scena uzdrowienia paralytyka. Po uzdrowieniu Jezus nakazuje nam: „Wstań weź swoje łoże i chodź”. Przebacza mu grzechy, lecz go z choroby, a mimo to nakazuje mu nieść swoje łoże, na którym uprzednio leżał jako chory. Tym ciężarem, który trzeba grzesznikowi nieść po odpuszczeniu jego grzechów jest ciężar jego winy, czyli konsekwencje popełnionych grzechów.

Doskonałość chrześcijańska?

Zgrzeszyć można na dwa sposoby: albo przez świadome i dobrowolne popełnienie złego czynu albo przez równie świadome i dobrowolne zaniechanie tego, co powinno być uczynione. Grzechy zaniechania są niestety często nie zauważane przez chrześcijan. Zapominają oni, że miłość jest czymś co powinno ciągle się rozwijać i rozrastać.

Rozpowszechnione jest przekonanie, że doskonałość chrześcijańska polega na nie grzeszeniu, czyli na unikaniu poważnych grzechów. Samo powstrzymanie się od zła trudno jeszcze nazwać doskonałością. Wielu uważa się za sprawiedliwych, dlatego że „nikogo nie zabili, nie okradli, nie cudzołożyli”. Chrześcijaństwo jednak polega przede wszystkim na czynieniu dobra, na miłości twórczej, na miłowaniu „całym sercem, całą duszą, całą swoją mocą i całym swoim ciałem”.

Zaniebdywanie dobra, które można było uczynić jest grzechem. Św. Jakub mówi: „kto zaś umie dobrze czynić, a nie czyni grzeszy”. Wyzwolenie od zła ma nas mobilizować do dobra.

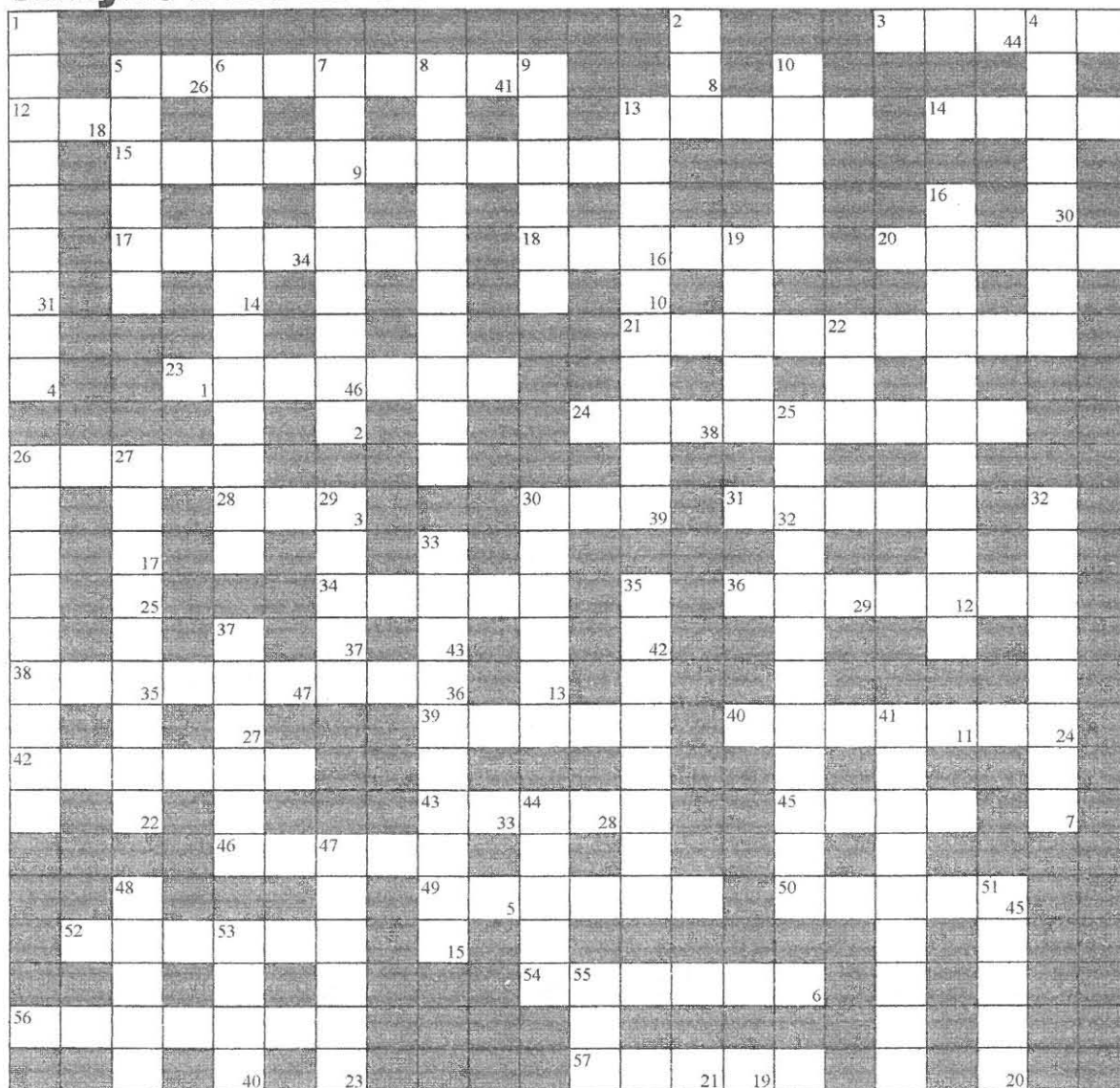
Przy okazji zwróćmy uwagę na grzechy te największe jakie człowiek może popełnić, a które są szczególnie niebezpieczne dla życia duchowego - grzechy wewnętrzne. Grzech wewnętrzny to np. nienawiść Boga, nienawiść bliźniego, pycha, grzeszne pragnienia, grzeszne upodobania i grzeszne zadowolenia.

Pragnienie grzeszne jest grzechem tego samego gatunku i wielkości co czyn, do którego się odnosi. W sakramencie pokuty należy wyznać taki wewnętrzny grzech z zaznaczeniem, że było to pragnienie dotyczące określonej dziedziny. Trzeba jednak odróżnić grzeszną, wewnętrzną decyzję od pokusy, która jeszcze grzechem nie jest, np. w kimś rodzi się chęć zemsty, jednak prosi Boga, aby mógł się oprzeć temu pragnieniu. W tym wypadku świadomą i dobrowolną decyzją nie jest chęć skrzywdzenia kogoś, lecz modlitwa, a więc przejaw postawy pozytywnej.

Marta Krzemień

ROZRYWKA

Krzyżówka nr 31



POZIOMO:

3. komenda dla psa
5. miasto w Hiszpanii
12. teatr w Krakowie
13. mądry po szkodzi
14. trend
15. Franek Kimono
17. pustelnik
18. lista aktorów odtwarzających role w filmie
20. spiszek
21. amator w jakiejś dziedzinie
23. ukochany babci
24. leczy schorzenia serca
26. pseudonim Apolonii Chałupiec
28. np. 1840
30. uderzenie
31. powieść Whartona
34. szlachetny pierwiastek
36. ks. Robak
38. ślizgawka
39. wilgotny las Amazonii
40. specjalista od gleby
42. tęsknił do kraju, gdzie kruszynę chleba podnoszą z ziemi przez uszanowanie
43. Orzeszkowa
45. „mleko” małych Eskimosów
46. arbuz
49. ukochana Tristana
50. z Doliny Roztoki
52. poprzedza pierwszy rozdział
54. urządzenie
56. małe państwko w Ameryce Południowej
57. drzewo iglaste

PIONOWO:

1. plan poniesionych wydatków
2. przeciwieństwo dobra
4. policyjny samochód
5. podpowiada w teatrze
6. stolica Brazylii
7. prowadzą „Z kamerą wśród zwierząt”
8. pracuje na pokładzie samolotu
9. nieistniejąca już polska wytwórnia płytowa
10. Jeżowska
13. występuje na estradzie
16. nauka o reakcji organizmu na czynniki zewnętrzne
19. następca biblijnego króla saula
22. opłata celna
26. posiadłość Michaela Jacksona
27. pan na włościach
29. skarcenie dziecka
30. garnek
32. budowa człowieka
33. anons
35. drogocenny kamień
37. Jurek z Wielkiej Orkiestry
41. gatunek małpy

44. obraz w cerkwi
47. uczniowski „urlop”
48. np. wyborcze
51. do wkręcenia
53. latem dla ochłody
55. talia

Rozwiązanie (myśl Malcolma X) utworzą liczby z prawego dolnego rogu od 1 do 47. Na rozwiązanie czekamy do 15 marca 1997 r. Wśród ich autorów rozlosowane zostaną nagrody książkowe.

Rozwiązanie Krzyżówki nr 29: Poziomo: Apostoł, osiołek, ABS, Salomon, egoista, stal, Latarnik, mara, atu, mu, Domel, cło, Irtysz, Oz, spodnie, London, Enio, Mg, pieprz, Lot. Pionowo: Absalom, oblat, Tamar, łan, oset, idol, łaska, krata, Gamaliel, Skamander, autostop, nadwozie, mustang, rzeszoto, uczony, OMO. **Nagrody otrzymują:** Paweł Kraszewski, Marek Madura, Ewa Nawrot. **Rozwiązanie Krzyżówki nr 30.** Hasło: Walentynka. Nagrody otrzymują: Ilona Chmielik, Anastazja Korpak. Do odebrania u ks. Krzysztofa.

Z ŻYCIA PARAFII

CHRZTY:

2.02.1997 - Olga Marta Flak
- Kacper Wojciech Jaworski
- Piotr Marek Nowak

ŚLUB:

8.02.1997 - Ryszard Piotr Grochowalski
i Emilia Barbara Groblicka

ZMARLI:

25.01.1997 - † Chryzant Chwastek, ur. 1922
29.01.1997 - † Edward Krupa, ur. 1920
2.02.1997 - † Wilhelmina Agnieszka Stokłosa z d.
Hartman, ur. 1911
15.02.1997 - † Czesław Kaczmarczyk, ur. 1919
16.02.1997 - † Józefa Rączka z d. Kramarz, ur. 1901
16.02.1997 - † Władysław Gastoł, ur. 1923



KRONIKA

4 lutego w auli pod nowym kościołem odbył się koncert zespołu „Wesoły Lwów”. Koncert ten był ostatnim występem zespołu w Krakowie, kończącym siedmiodniową trasę koncertową. Podczas koncertu licznie zgromadzona publiczność (było około 200 osób) mogła usłyszeć przedwojenne przeboje, weso-

łe piosenki znane głównie ze starych filmów, ale także piosenki smutne, refleksyjne, napisane już po wojnie. Szerzej o koncercie piszemy wewnątrz numeru. (tom)

* * *

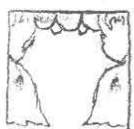
Według naszych danych, na podstawie błyskawicznie przeprowadzonej ankiety, spośród 131 losowo wybranych dzieci 67 (co stanowi 51% ogółu) nigdzie nie wyjechało na ferie z Bieżanowa. Co do pozostałych, to 32 (24%) z nich wyjechało gdzieś do rodziny, 17 (13%) uczestniczyło w różnego rodzaju zimowiskach (przede wszystkim w tych zorganizowanych przez ks. Milana oraz ks. Marka), zaś 15 (12%) wyjechało z rodzicami na wczasy. Jakkolwiek by nie patrzeć, trudno byłoby stwierdzić, iż liczby te tchną optymizmem. (rtc)

* * *

W nocy z soboty na niedzielę 15/16.02.1997 r. jak zwykle „nieznani” sprawcy zdewastowali dzieśnię pomników na naszym cmentarzu, urywając krzyże z grobowców. Część z nich odnaleziono w pobliżu cmentarza, jak również w okolicach supermarketu „Alf” na Nowym Bieżanowie. (rtc)

* * *

Niestety, sytuacja powtórzyła się w nocy z niedzieli na poniedziałek 23/24.02.1997, kiedy to zniszczonych zostało ponad dwadzieścia pomników. W chili zamykania numeru nie posiadamy bliższych danych. (rtc)



CO NOWEGO W KDK?

Ogłoszenia Katolickiego Domu Kultury „Eden”

W minione ferie Katolicki Dom Kultury służył dzieciom i młodzieży przez różne zajęcia, jakie miały miejsce od poniedziałku do piątku w godz. od 9⁰⁰ do 13⁰⁰. Była możliwość skorzystania z bilarda, tenisa stołowego, gier planszowych. Ponadto odbyły się: biegi z przeszkodami na czas, turniej tenisa stołowego i konkurs plastyczny.

We wtorki, środy i czwartki odbywały się wyjazdy na lodowisko. Miała miejsce również wycieczka na Chełm, w której wzięło udział 25 osób, a która zorganizowana została przez p. Marię Borejczuk.

Ogólnie w zajęciach w „Edenie” uczestniczyło codziennie około 40 osób, nie licząc wyjeżdżających na lodowisko.

W południe każdy mógł wypić gorącą herbatę i posilić się drożdżówką z cukierni p. Jerzego Jamroza.

Wszystkim, którzy przyczynili się do zorganizowania ferii w „Edenie”, w szczególności zaś tym, którzy społecznie opiekowali się dziećmi, składamy serdeczne podziękowanie.

**Kierownik KDK
Marta Krzemień**